HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM I



WYDAWNICTWO «W DRODZE»

JEROZOLIMA

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM I

WYDAWNICTWO « W DRODZE »
Jerozolima

Printed in Palestine at The Jerusalem Press Ltd., Jerusalem
June, 1943

WSTĘP.

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całem Rosieńskiem nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddawali usługi, za które różnemi czasy hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majętności i w okolicy Rosień i dalej ku Krakinowu, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży — aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosieniach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza, patrjarchą wszystkich Billewiczów był Herakljusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie mieszkał w gnieździe rodzinnem, które dzierżył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakljusza nalezały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące wpobliżu Laudy, naokół, jakoby morzem, ziemiami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem, kilka było tylko większych domów w okolicy, jak Sołłohuby, Montwiłłowie, Schyllingowie, Koryznowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanemi „okolicami“, albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami, zamieszkałemi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków, albo zaścianki od rodów, jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza, było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których, owego czasu, Batory osadził za męstwo, okazane pod Pskowem. W Wołmontowiczach, na dobrej glebie roili się Butrymowie, największe chłopy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasu sejmików, najazdu lub wojen, murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszczą Zielonką aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli w Pacunelach: panny ich słynęły pięknością, tak, iż wkońcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upity pacunelkami nazywano. Sołłohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewicze w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo Dymnymi.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały i ludzie innemi w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się niezawsze na dawnych pogorzeliskach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła wziętości, gdyż przed niewielu laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego

Herakljusza Billewicza; więc bogatsi, jako towarzysze, na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych. Wogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą materję sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on chce tego, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej, ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem, niż klientem potężnych oligarchów w Birżach — i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiące szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów, lub Gasztowtów nie lekceważył jeszcze w tym czasie nikt w świecie. Później dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakljusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w roku 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owoż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szkłowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuską prawie w pień wycięta — stary pułkownik, rażony apopleksją, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wsławiony żołnierz, który w zastępstwie pana Herakljusza, laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękane, pognębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekając, że ufny w grozę swego imienia, w urok zwycięzcy, z małą siłą na dziesięćkroć licz-

niejszą potęgę się rzucił, a przez to pogrążył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań an jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu. Owszem ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego doświadczeniu wojskowem i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodyjowskiego dokonali: jako w ataku przebili się niby przez dym, przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy, cały regiment najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, przyczem pan Wołodyjowski własną ręką ściął tegoż regimentu oberszta; jako nakoniec otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą, owych opowiadań ci z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitem ruszeniu stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już zgóry umowa, że w takim razie pan Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowem obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowie mówili jeszcze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. To też cała Lauda na ręku go prawie nosiła, a okolica wydzierała okolicy. Kłócili się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać na dłużej gościną. On zaś tak sobie ową bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako tako po klęsce przyjść do sprawy — on z innymi nie odszedł, ale jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencję założył, u pana Pakosza

Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Coprawda, nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie, najprzód przyszły nań złe gorączki, potem od kontuzji, którą był pod Cybichowem otrzymał, odjęło mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić, szlachta zaś kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakljusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopókiby zamąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej.

„...Którzy, jako mnie życzliwymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą ludzką nikt bezpieczen, ani próżen bojaźni być nie może — niechaj sieroty przez pamięć moją od przygody strzegą.

Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczności zażywała, z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu dawam, darowuję i zapisuję, aby w tem przeszkody jakiej nie miał. Ktoby zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Andrzeja Kmicica dziwował, albo w tem krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielekroć ratował, a gdy złość i invidia panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały — i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakljusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem

grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica, ojca miecznika orszańskiego się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubować. Tamże, za wspólną zgodą, postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stadło uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę Bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuję, chybaby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnemi uczynkami sławę swą splamił i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancję swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie, wedle Orszy, łacnie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga, wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała Boża przed ludzką iść powinna...“

W taki to sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakljusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra zdawna wiedziała co ją czeka i szlachta zdawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała — zresztą umysły w czasach klęski czem innem były zajęte, tak, że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szkłowem z własną chorągwią i orszańskimi wolentarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnieby nie uszła niepostrzeżenie. Familjanci to bowiem byli w Orszańskiem Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły

się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomóc go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzie niegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugiemi, jak upadł Smoleńsk. Województwo smoleńskie, w którem leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnem zamieszaniu, w powszechnej trwodze rozproszyli się ludzie, jak liście wichrem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła zwolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. „Okolice“ poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na kongresa pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, puszczą Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicze Dymni w dymach mięso na przyszłą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kasjana Butryma, dwóch patrjarchów okolicznych — wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. To też, gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencyj nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majętności młodej dziedziczki; nie przesypywano kopców,

nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajechano pastwisk. Owszem wspomagano zasobną samą przez się dziedziczkę, czem która „okolica“ mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni nadsyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyna od Domaszewiczów myśliwych, smoła i dziegieć od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej w zaściankach nie mówił, jak „nasza panna“, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie, jak ona.

Tymczasem przyszły wieści zwołujące szlachtę — więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholęcia wyrósł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył do Grodna i tam miejsce generalnego zboru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w milczeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie na ostatku, jak zawsze czynili, bo im od pacunelek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiła się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jako wojski między pacunelkami pozostał. Opustoszały „okolice“ i jeno starcy z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach. Cicho było w Poniewieżu i Upicie — czekano wszędy na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodoktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudańskich nie widując.

ROZDZIAŁ I.

Przyszedł nowy rok 1655. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kożuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptastwo stukało dziobem do szyb, szedzią i śnieżnemi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskiemi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tem łacniej, że między jej dziewkami dworskiemi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnemi były, a wzamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewek traktowania. Były jednak między niemi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich po polsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swoją panną Kulwiecówną siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie,

ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisiały na niciach różnokolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w cieple, a z za belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był niemi założony. Po ścianach ciemnych błyszczały, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, mrucząc pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionemi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie, jakby na wyścigi, surowemi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystremi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarna huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

— Padłas!

Pana Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej twarz i poważne błękitne oczy, patrzące z pod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona, jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach, więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

— Gdzie on jest i jaki on jest teraz? — oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką podróż do Orszy. Otóż, wedle tych opowiadań, miał to być „wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny“. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Billewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tymczasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny, pociągnął na pole beresteckie. Tam postrzelony, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znowu była wojna — i tak zeszły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czem rozmyślać panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystem, właśnie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tem ognisku rozpalił się płomień spokojny, ale jasny, równy i jak znicz litewski nie gasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które

nie było odpowiedzi, a raczej miała dopiero nadejść z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubi i gotowością na jej gotowość odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem dotrzymywały najczęściej układu. W samem więc zeswataniu jej nie widziała panienka nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola niezawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążała płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?“ I potem już stado myśli opadło ją, jak stado ptastwa opada drzewa, samotnie na rozległych polach stojące. Ktoś ty jest? jakiś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzie tam poległeś?... Dalekoś ty czy blisko?... Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimowoli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym, nocą przykrytym: — Bywaj junaku! bo niemasz nic gorszego w świecie nad oczekiwanie!

Wtem, jakby w odpowiedzi na wołanie, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała sobie, że to z Pacunelów przysyłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika; myśl tę potwierdziła panna Kulwiecówna, mówiąc:

— To od Gasztowtów po driakiew.

Nieregularny głos dzwonka, targanego przy dyszlu, brzmiał coraz wyraźniej; nakoniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

— Obacz, kto przyjechał — rzekła panna Kulwiecówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się zpowrotem i biorąc znów za drąg od żaren, rzekł z flegmą:

— Panas Kmitas.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknęła panna Kulwiecówna.

Prządki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem, we drzwiach, pojawiła się wyniosła jakaś postać, w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

— Hej! a gdzie to wasza panna?

— Jestem — odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły, zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się, rzekł:

— Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęy błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy, bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

— Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

— Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? — spytała panna.

— Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnemi opłakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, nieledwie brat nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czte-

rema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszała nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła:

— To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

— Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który najprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! — ot — tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierz chwycił nie spodziewającą się takiego postępku Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długiemi rzęsami, stała tak światłem i własną pięknością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

— Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

— Jeszcze nie prędko, jeszczem nie waćpana — odrzekła Oleńka.

— Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale tu, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować nie one specjały, któremi oczy pasę. Miłoż to taki legat dostać, niech mię kule biją!

— Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiedział, żeś waćpan gorączka.

— Tacy u nas wszyscy w Smoleńskiem, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

— Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

— Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

— Po sercu, to jeszcze nie wiem.

— Niechbyś nie była, tobym się nożem pchnął!

— Śmiejący się to waćpan mówisz, ale i my to jeszcze w czeladnej! Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi, proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:

— Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrzał bystro:

— Ciotuchna? — spytał — jaka ciotuchna?

— Moja, panna Kulwiecówna.

— A to i moja! odparł, zabierając się do rąk całowania. — Dlaboga! toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

— To z tych samych! — odrzekła dygając stara panna.

— Dobry chłop, ale wicher, jak i ja! — dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościnnych.

Zaraz po ich odejściu, prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając:

— Łuna od niego bije, — mówiła jedna, — kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

— A oczy ma jak ryś, aż niemi kłuje: — odrzekła druga, — takiemu się nie przeciw!

— Najgorzej się przeciwiać! — odpowiedziała trzecia.

— Panną, jak wrzecionem okręcił! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komużby się ona nie udała?

— Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na końcu świata.

— Szczęśliwa panna!

— Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! złotoż, to nie rycerz.

— Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, któren jest u pacunelek, u starego Pakosza, piękny kawaler.

— Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie niema!

— Padłas! — zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.

— A nie pójdziesz ty kudłaty ze swojemi wymysłami! Dajże już pokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego, jak pan Kmicic, na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach takiego niema!

— Taki to się i przyśni!

— Niechby się ono i przyśnił...

W taki to sposób rozprawiały ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co duchu w izbie stołowej, a w gościnnej mówiła panna Aleksandra sam na sam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, nakoniec rzekł:

— Są ludzie, którym majętność nad wszystko milsza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale jabym waćpanny za żadne skarby nie oddał! Dalibóg, im więcej patrzę, tem większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew, to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

— Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka.

— A oczy jakoby z nieba! Od konfuzji słów mnie brakuje.

— Niebardzoś waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

— To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast, czy w ogień, śmiało iść. Musisz, królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

— Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

— Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierz, waćpanna, nie wierz, a radbym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem, niżli na pokojach dworskich.

— Ejże, nic to nie szkodzi, bo i mój dziaduś żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! — odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu odrazu serce jak wosk stopniało, i odrzekł:

— Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

— Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.

Kmicic ukazał białe, jakoby wilcze zęby, w uśmiechu.

— Jakto! — rzekł — małoż to ojcowie nałamali na mnie rózeg w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękne maksymy spamiętał, przewodniczki żywota...

— A którąż eś najlepiej spamiętał?

— „Kiedy kochasz, padaj do nóg“ ot tak!

To rzekłszy, pan Kmicic już był na kolanach, panienka zaś wołała, chowając nogi pod stołek:

— Dlaboga! tego w konwencie nie uczyli! Daj waćpan pokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie...

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

— A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

— Wstańże waćpan.

— Już wstaję.

— Siadaj waćpan.

— Już siedzę.

— Zdrajca z waćpana, Judasz!

— A, nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!... Chcesz się przekonać?

— Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż

łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały, jak młodemu źrebcowi szlachetnej krwi.

— Aj! aj! — mówił — co to za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!

— Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

— Ba! znałem jeno konterfekt. Każę tego malarza w smołę a potem w pierze wsadzić i po rynku w Upicie biczem pędzać. Już powiem wszystko szczerze: chcesz waćpanna, to przebacz — nie, to szyję utnij! Myślałem sobie tedy, na ów konterfekt poglądając: gładka gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie — mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: mam czas! żeniaczka nie przepadnie! panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie przeciwiłem się ze wszystkiem woli ojcowskiej. Bóg mi świadek, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoż na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, żem był głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delicje czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól, waćpanna, rączki ucałować.

— Lepiej nie pozwolę.

— Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskiem mówią: Proś, a nie dają, to sam weź!

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała się zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencja, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wziąwszy się pod ręce, jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych i omszały gąsiorek wina, moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, raźno i wesoło. Panna już była po

wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań zboku, rada, że je i pije, potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

— To waćpan nie z pod Orszy jedziesz?

— Bo ja wiem skąd!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził, jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urwał.

— A żeś się to waćpan ważył takiej potędze oponować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

— Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka we mnie natura!

— Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

— E! nakrywali mnie tam czapką i ręką, jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzie indziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny półgęsek!

— W imię Ojca i Syna! — zawołała z nieudanem przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

— Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

— Miałem oczywiście swoich dragoników, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdziem mógł, nie przebredzając. Dobrzy pachołkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej czy później pójdą wronom na frykasy...

To rzekłszy, pan Andrzej znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

— Takich drapichróstów jeszcześ waćpanna nie widziała. Niech im kat świeci! Oficerowie, wszystko szlachta z naszych stron, familjanci, godni ludzie, ale prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z nimi robić?

— To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...

— Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli, jako miotły od ciągłego zamiatania, więc mi książę wojewoda hiberny w Poniewieżu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony wypoczynek!

— Jedz waćpan, proszę.

— Jabym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewieżu, część w Upicie, a godniejszych kompanjonów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjdą waćpannie czołem bić.

— A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

— Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.

— Pij-no waćpan...

— Jabym dla waćpanny i truciznę wypił...

— Ale o śmierci dziadusia i o testamencie, to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

— A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

— Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałam i modlitwie, więcej o niczem...

— Oni też to samo mówili... Ho! harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie żachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja słysząc, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.

— Jezus Marja! i waćpan to uczynił?

— Kmicic spojrzał zdziwiony.

— Nie przestraszaj się waćpanna... Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Alem sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

— Wielkie to szczęście! — rzekła oddychając głęboko Oleńka — bo inaczej na oczybym waćpana widzieć nie mogła.

— A to jakim sposobem?

— Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w niej kochał i na wojnę z nimi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w domu ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz. Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

— To ja o niczem nie wiedziałem! niech mnie usieką, jeślim wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas, kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familjanci, którzy po dwóch na jedną kobyłę nie siadają... Dalibóg! że takim szerepetkom nic do Kmiciców, ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba.

— Dziaduś powiadał, że substancja nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczejby ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał i otworzył szeroko oczy.

— Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...

— Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?

— Byłbym ich... ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? Zali i nade mną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... E! nie żartuj-no, waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

— Panie Andrzeju, ja nie żartuję... świętą i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem, ale jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nietylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej drżał, jak prośba pieściwa, ale on nie rozmar-

szczał brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatywały mu jakby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:

— Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny, prócz mnie, opiekunem nie będzie. Nietylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają.

Panna Aleksandra spoważniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

— Źle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycje dziadzia nieboszczyka albo trzeba wszystkie przyjąć, albo wszystkie odrzucić — rady innej nie widzę. Laudańscy nie będą się przykrzyć, ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ci cięższy byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mniemam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

— Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Niema się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędki, to będzie najlepiej!

— Nie wypada teraz o tem mówić w czasie żałoby...

— Aj! a długo będę musiał czekać?

— Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej, jak pół roku.

— Wyschnę do tego czasu, jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużeś waćpanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać, jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, tobym go rozdarł, a gdy przejdzie, tobym zszył!

— Strach z takim żyć — odrzekła już weselej Oleńka.

— No! zdrowie waćpanny! Dobre to wino, a u mnie

szabla i wino, to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć? Waćpanna to mnie usidlisz swojemi oczkami i w niewolnika obrócisz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką na własną rękę chodzić, niż panom hetmanom się kłaniać... Mój królu złoty! jeślić ci się co we mnie nie spodoba, to i przebacz, bom się manier pod harmatami uczył, nie we fraucymerach — w zgiełku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. To też, choć tam i kondemnatka jaką na kim ciąży, choć go i wyrokami ścigają — nic to! Ludzie go szanują, byle fantazję miał kawalerską. Exemplum: moi kompanowie, którzy gdzie indziej dawnoby w wieżach siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w butach i przy szabli chodzą i partjom hetmanią, jako pani Kokosińska, stryjna mego porucznika czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familjantom? Ale to rozumiemy: wojna — to stawać, sejmik — gardłować, a mało języka — to dalejże szablą! Ot, co jest! takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał!

— Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie — odparła, spuszczając oczy, panienka.

— A dajże jeszcze ręczyny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła! Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, któregom jeszcze nie widział.

— Dam waćpanu przewodnika...

— Ej, obejdzie się. Już ja przywykłem tłuc się po nocach. Mam pachołka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wielcy to familjanci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym ogłoszono, za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewkę porwał, a ludzi

wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze ręczyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić zwolna na wielkim gdańskim zegarze, w jadalnej izbie stojącym.

— Dlaboga! czas! czas! — zawołał Kmicic. — Nic tu już nie wskóram! Miłujeszże mnie choć na obwinięcie palca?

— Kiedy indziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedział?

— Codzień! chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy, Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

— Dobranoc, królowo miła, — mówił, — śpij smaczno, bo ja, to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

— Byleś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

— A cóż to ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik do sanek. Dobranoc, najmilsza, dobranoc!

— Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzeć raz jeszcze. Tym posłał pan Andrzej żołnierskim obyczajem całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabrzęczał dzwonek i jął brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana

Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dziwne nastało milczenie. Panienka nadstawiła uszu, czy nie dosłyszy jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę — i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Zwolna wziąwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i klękła do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli, jakby na skrzydłach, pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi, jak na jawie, płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszczały białe, jak u młodego psiaka, zęby. Trudno bowiem chciała przed sobą zapierać się poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazją, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach, głowę jakby turecki dzianet podniósł i mówił: — Sami nawet Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają... — To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! — mówiła sobie panna. Żołnierz jest, jakich dziaduś najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała panienka — i to ją ogarniała błogość niczem nie zmącona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w ręku.

— Strasznieście długo siedzieli! — rzekła. — Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno

bosemi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję, a złożywszy swą jasną głowę na jej piersiach, rzekła pieszczotliwym głosem:

— Ciotuchna, aj, ciotuchna!

— Oho! — mruknęła stara panna, podnosząc w górę oczy i świecę.

ROZDZIAŁ II.

We dworze w Lubiczu, gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sień, by pana witać, bo wiedziano od kompanjonów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włodarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszły pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszów pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwonków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: — Haeres! haeres przyjechał! — i wszyscy kompanjonowie, zerwawszy się z miejsca, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod bok i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpić, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i słaniają się i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszliwą blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, porucznik i przyjaciel pana Kmicica, „godny kompanjon“, skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie.

Jego to teraz osłaniała wojna i protekcja pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem i fortuny ich w Orszańskiem, póki swojej pan Jaromir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz, trzymając w obu rękach rostruchanik, uszniak, dębniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mścisławskiego, z którego był banitem za zabójstwo dwóch szlachty posesjonatów. Jednego w pojedynku usiekł, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć macosze ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadjaka to był w ręcznem spotkaniu niezrównany. Trzecim zkolei był Rekuć Leliwa, na którym krew nie ciężyła, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on zato w kości przegrał i przepił — od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Z nim szedł czwarty, pan Uhlik, także smoleńszczanin, za rozpędzenie trybunału bezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic go ochraniał, gdyż na czekaniku pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający — i Zend kawalkator, który zwierza i wszelkie ptastwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowi ujeżdżał, za co lafę pobierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja; Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły,
gospodarzu miły!
Byś pić mógł z nami aże do mogiły,
aże do mogiły!...

Inni powtórzyli chórem, poczem pan Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał zaraz inny puharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę rostruchan i zakrzyknął:

— Zdrowie mojej dziewczyny!

— Vivat! Vivat! — krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drżeć w ołowianych oprawach.

— Vivat! Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

Pytania poczęły się sypać:

— A jakoż wygląda? Hej! Jędruś! bardzo gładka? Czy taka, jak sobie imaginowałeś? Jest-li druga taka w Orszańskiem?

— W Orszańskiem? — zawołał Kmicic — kominy przy niej naszemi orszańskiemi pannami zatykać!... Do stu piorunów! niemasz takiej drugiej na świecie!

— Tegośmy dla cię chcieli! — odpowiedział pan Ranicki. — A no, kiedy wesele?

— Jak się żałoba skończy.

— Furda żałoba! dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!

— Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro Jędrusiu!

— Ostro Jędrusiu! — poczęli wołać wszyscy razem.

— Już tam chorążętom orszańskim tęskno z nieba na ziemię! — krzyknął Kokosiński.

— Nie daj czekać niebożętom!

— Mości panowie! — rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa — popijem się na weselu, jak nieboskie stworzenia!

— Moi mili barankowie, — odpowiedział Kmicic, — pofolgujcie mi, albo lepiej mówiąc: idźcie do stu djabłów, niechże się po moim domu obejrzę!

— Nanic to! — odparł Uhlik. — Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu: jeszcze tam parę gąsiorków z pełnemi brzuchami stoi.

— My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! — rzekł Ranicki.

— Stajnia dobra! — wykrzyknął Zend — jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzinów i para kałmuków i wszystkiego po parze, jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzym.

Tu Zend zarżał jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje i śmieli się.

— Takież tu porządki? — spytał uradowany Kmicic.

— I piwniczka jako się patrzy, — zapiszczał Rukuć, — ankary smoliste i gąsiory spleśniałe, jakoby chorągwie w ordynku stoją.

— To chwała Bogu! siadajmy do stołu!

— Do stołu! do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

— Zdrowie podkomorzego Billewicza!

— Głupi! — odparł Kmicic. — Jakżeto? Nieboszczyka zdrowie pijesz?

— Głupi! — powtórzyli inni. — Zdrowie gospodarskie!

— Wasze zdrowie!...

— By nam się w tych komnatach dobrze działo!

Kmicic rzucił mimowoli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu surowych, w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów billewiczowskich, wiszących nisko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była niska. Nad obrazami, długim, jednostajnym szeregiem, wisiały czaszki żubrze, jelenie, łosie, w koronach z rogów, niektóre już sczerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany były niemi ubrane.

— Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek! — rzekł Kmicic.

— Jutro zaraz pojedziem, albo pojutrze. Trzeba i okolicę poznać — odparł Kokosiński. — Szczęśliwyś ty Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!

— Nie tak jak my! — jęknął Ranicki

— Wypijmy na pocieszenie! — rzekł Rekuć.

— Nie! nie na pocieszenie! — odpowiedział Kulwiec-Hippocentaurus — ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! On to, moi mości panowie, przytulił nas tu w Lubiczu, nas biednych exulów, bez dachu nad głową.

— Słusznie mówi! — zawołało kilka głosów. — Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.

— Ciężka nasza dola! — piszczał Rekuć. — W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

— Dajcie pokój! — mówił Kmicic — co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

— W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! — wołał Kokosiński — choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

— Dajcie spokój! — powtarzał Kmicic.

— Nie wyganiaj, i tak nas wygnali, nas szlachtę i familjantów! — wołał żałośnie Uhlik.

— Do stu kaduków! któż was wygania: jedzcie, pijcie, czego u djabła chcecie?

— Nie przecz Jędrusiu, — mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki, jak na skórze rysia, — nie przecz Jędrusiu, przepadliśmy z kretesem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzawszy baraniemi oczyma na obecnych:

— Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy zawrzaśli zaraz chórem:

— Co się nie ma odmienić!

— Jeszcze za swoje zapłacimy.

— I do fortun dojdziem.

— I do godności!

— Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

— Zdrowie wasze! — zawołał Kmicic.

— Święte twoje słowa, Jędrusiu! — odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe pucołowate policzki. — Bodaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali

wszyscy jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać: „Len mędliła na mędlicy!“ — co widząc pan Uhlik, dobył z zanadrza czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechtmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

— Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy — szach!

Olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, nakoniec kiwnął ręką i rzekł:

— Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a taki Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

— Bo jemu nikt nie dotrzyma, ale ty się spróbuj!

— I ze mną na pistolety nie wygrasz.

— O dukat strzał.

— O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, nakoniec wykrzyknął, wskazując na czaszki:

— Między rogi! o dukat!

— O co? — spytał Kmicic.

— Między rogi! o dwa dukaty! o trzy! Dawajcie pistolety!

— Zgoda! — krzyknął pan Andrzej. — Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniej i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.

— Nabity? — spytał.

— Nabity!

— O trzy! cztery! pięć dukatów! — wrzeszczał pijany Kmicic.

— Cicho! Chybisz, chybisz!

— Trafię, patrzcie!... at! do tej czaszki, między rogi... raz, dwa...

Wszyscy zwrócili oczy na potężną czaszkę łosią, wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.

— Trzy! — wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

— Chybił, chybił! ot, gdzie dziura! — wołał Kmicic, wskazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

— Do dwóch razy sztuka!

— Nie! dawaj mnie! — wołał Kulwiec.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

— Precz! precz! — krzyknął Kmicic. — Raz! dwa! trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

— A dajcie i nam pistolety! — zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pachołków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram portretów; w zamieszaniu postrzelono i Billewiczów, a Ranicki wpadłszy w furję, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylękła czeladź stała jakby w obłąkaniu, poglądając wytrzeszczonemi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobną. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegły pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcząc nosy, spoglądały co się dzieje w środku.

Dojrzał je nakoniec pan Zend; świsnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkich zadzwoniło i krzyknął:

— Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki!

— Sikorki! sikorki!

— Dalejże w pląsy! — wrzeszczały niesforne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił głów dymiących. Dziewczęta, krzycząc wniebogłosy, rozbiegły się po całem podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się pląsy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wkoło stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Tak to bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompanja.

ROZDZIAŁ III.

Przez następne dni kilka, codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i codzień wracał więcej rozkochany i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanjonami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

— Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majętność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, którenby jej w czemkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sań wiozło ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęły je trzy kałmuki zdobyczne, w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskiem, którą od dalszych sąsiadów smoleńszczanie przyjęli. Powoził parobek, siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekieszę, spinaną na złote pętlice,

a podbitą sobolami i w soboli kołpaczek z czaplem piórem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok pana Kokosińskiego:

— Słuchaj Kokoszko! Podswawoliliśmy pono przez te dwa wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze djabeł Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi! — na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputację.

— Powieśże się na twojej reputacji, bo na nic innego nie zdatna, tak jak i nasze.

— A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskiem mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języka na mnie ostrzyli, jak noże na osełce.

— A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekł, który się pytał, czy w Orszańskiem, już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich ojca i syna poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpędził?

— Sejmik rozpędziłem w Orszańskiem, nie gdzie indziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co do reszty, to nie wymawiaj, gdyż pojedynek najniewinniejszemu się zdarzy.

— Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycjach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

— Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, żem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tem, Stulże pysk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczem Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owem strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wydało, na was winę złożę. Czeladzi już wspomniałem i dziewkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

— Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskiem. Widzę to już, widzę,

że będziesz na pasku chodził, a to nanic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!“ Dałeś się już we wszystkiem usidlić.

— Głupiś Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona zaraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazję kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzódy sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

— Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki, jako krew z mlekiem i podobno zgoła nie oporne.

— Kto ci to powiadał? — spytał żywo Kmicic.

— Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend. Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując, pojechał do Wołmontowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikorek, bo z nieszporów wracały. „Myślałem (powiada), że z konia zlecę, tak chędogie i gładkie“. A co na którą spojrzał, to mu zaraz zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopy między szlachtą, to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trącił kułakiem w bok towarzysza:

— Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy — co?

— A twoja reputacja?

— O do djabła! Stulże gębę. Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obeszłoby się bez hałasów,

a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczyk podkomorzy wyznaczył.

— Mówiłeś o tem, alem nie chciał wierzyć. Skąd mu taka konfidencja z szarakami?

— Bo na wojnę z nimi chadzał i to słyszałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale, żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.

— Musisz się im akomodować i do wiechciów w butach kłaniać.

— Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi gniewno! Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

— Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiadał Zend, że tu jest jakiś pułkownik między nimi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski, czy kto? On pod Szkłowem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczesano!

— Słyszałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

— Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo wszędy okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjaciel pali, to się i budować mogą.

— Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć — rzekł, jakby do siebie samego, Kmicic.

Poczem zwrócił się do towarzysza:

— Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czemkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.

— No! ależ cię osiodłali!

— Osiodłali, nie osiodłali — tobie zasię!

— Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasię — rzekł flegmatycznie Kokosiński.

— Pal z bata! — krzyknął na woźnicę Kmicic.

Pachołek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice, poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania, raźno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek, weszli najprzód do sieni ogromnej jak śpichlerz, niebielonej, a stąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu, w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z których wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho, jak w kościele.

— Tyś chłop mowny: — szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego, — ty ją powitasz od nas wszystkich.

— Układałem sobie przez drogę, — odrzekł pan Kokosiński, — ale nie wiem czyli będzie dość gładko, bo mi Jędruś do konceptu przeszkadzał.

— Byle z fantazją! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga, jakby zdziwiona tak liczną kompanją, a i Pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad niemi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na głowie królowej, i patrzyła śmiało, oczu nie spuszczając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki, obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci wojakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, to też stali szeregiem, jakoby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

— Otom ci przywiózł, mój klejnocie, kommilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

— Honor to dla mnie niemały, — odrzekła Billewiczówna, — przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy, uchwyciła się koniuszczkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego.

— Hajda! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

— Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...

— Łowczanko ... poprawił Kmicic.

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziko! — powtórzył zmieszany pan Jaromir — wybacz waćpanna, jeżelim się w godności pomylił...

— Niewinna to omyłka — odrzekła panna Aleksandra — i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskego więcej wysławiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i kommilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

— A zleźże już raz z tych obłoków! — zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił i rzekł:

— Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszczkami palców za suknię.

— Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie, — rzekła, — ale to wiem, żem niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać jak ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli się ciągnąć za wąsy, mruczeć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

— Przyjechaliśmy tu niby kuligiem, w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna a i pogodę zdarzył Bóg mroźną.

— Jużem ja ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrządziła. A teraz malutko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco cieplej przyodzieję.

To rzekłszy, zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

— A co, mili barankowie? nie księżna?... A co Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jako żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

— Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, żem się do takiej persony mówić nie spodziewał.

— Nieboszczyk podkomorzy — rzekł Kmicic — więcej z nią w Kiejdanach na dworze księcia wojewody, albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał i tam to tych górnych manier nabrała. A uroda — co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

— Pokazaliśmy się jak kpy! rzekł ze złością Ranicki — ale największy kiep Kokosiński!

— O zdrajco! mnieś to łokciem pchał, trzeba ci było samemu ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!

— Zgoda, barankowie, zgoda! — rzekł Kmicic. — Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

— Jabym za nią w ogień skoczył! — zawołał Rekuć. — Zetnij Jędruś, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem kontent był, wąsa pokręcał i triumfalnie na towarzyszów poglądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra, ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

— To temi saniami pojedziem? — pytała panienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia — jeszczem też słuszniejszych sani w życiu nie widziała.

— Nie wiem, kto tam niemi przedtem jeździł, bo zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli i bardzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, którzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona Kmity Czarnobylskiego, a ten zaś nie był z tego domu, z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

— A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdobył?

— A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules, którzyśmy od fortum odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrodziła.

— Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrodzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.

— Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białemi wilkami podszytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: — Ruszaj! — i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

— Dobrze waćpannie?

— Dobrze — odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały jak wicher. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg

migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat, podobnych do kup śnieżnych, strzelały wysokiemi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych, z krakaniem donośnem. O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś wtył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się wtył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczuła słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć, ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą — lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

— Miłujeszże mnie?

Otworzyła oczy:

— Jako duszę własną!

— A ja na śmierć i żywot!

I znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej, pocałunki czy ta jazda zaczarowana?

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały wtył całemi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskały, a oni byli szczęśliwi.

— Chciałbym do końca świata tak jechać! — zawołał Kmicic.

— Co my czynimy? to grzech! — szepnęła Oleńka.

— Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

— Nie można. Mitruny już niedaleko.

— Daleko czy blisko, wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce do

góry i począł krzyczeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

— Hej — ha! hej — ha!

— Hej! a hop! hoop! ha! — odezwali się towarzysze z tylnych sani.

— Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? — pytała panna.

— A ot, tak! z radości! A zakrzyknij-no i waćpanna!

— Hej — ha! — rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

— Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!

— Kompanja się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:

„Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,
Na bujne pola!
Matuś! rycerze idą od boru,
Oj mojaż dola!
Córuś nie patrzaj — rączkami oczy
Zatknij białemi,
Bo ci serduszko z piersi wyskoczy
Na wojnę z nimi".

— Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? — pytała panna Aleksandra.

— Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęsknością śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani: — Stój! stój! hej tam — stój!

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, skąd towarzyszom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy wtem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca, zbliżającego się co koń wyskoczy.

— Na Boga! to mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! — rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszanym głosem:

— Panie rotmistrzu!...

— Co tam, Soroka?

— Upita się pali; biją się!

— Jezus Marja! — zakrzyknęła Oleńka.

— Nie bój się waćpanna... kto się bije?

— Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar! Mieszczanie się zaciekli i po prezydjum do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy, sanie idące ztyłu najechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend, wyskoczywszy na śnieg, otoczyli kołem rozmawiających.

— O co poszło? — pytał Kmicic.

— Mieszczanie nie chcieli obroków dawać, ani koniom, ani ludziom, że to asygnacyj nie było; żołnierze poczęli gwałtem brać. Oblegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

— To i nam trzeba na ratunek! — zakrzyknął Kokosiński.

— Wojsko łyczkowie oprymują! — wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. — Szach, szach! mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zestraszyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i piszczał:

— Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!

— Milczeć! — huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się, jak pijany. — Nic tam po was, nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza. Tam czekać, chybabym przysłał po sukurs.

— Jakto? — zaoponował Ranicki.

Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.

— Ni pary z gęby! — rzekł groźnie.

Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.

— Wracaj Oleńko do Wodoktów, — rzekł Kmicic, — albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! i kulig się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojnie, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy ucałował jej ręce i otulił ją w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

— Do Upity!

ROZDZIAŁ IV.

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale zato do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej, na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patrjarcha zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek, z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana, prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kasjan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batorego pamiętający, a z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat pięćdziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą, albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w stolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpił, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich

wdzięcznie, choć odrazu domyśliła się, że na zwiady przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

— Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, aleć to podobno jeszcze z Upity nie wrócił, — mówił Pakosz, — tak do ciebie przyjechaliśmy pytać, kochanieńko, kiedy można?

— Myślę, że tylko co go nie widać — odrzekła panna. — Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusią i teraz ode mnie.

— Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! — mruknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odparła zaraz żywo:

— Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i niedość politycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierzowi się nie dziwić, choć i na swego fuknie, bo to u nich humory, jako szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

— My też się i nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go znagła zobaczy, czemużby człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem do starego Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził, jako nieboszczyk pan podkomorzy.

— Tak już powiedz kochanieńko, udał ci się, czy nie udał? — pytał Kasjan Butrym. — Taż to nasza powinność pytać?

— Bóg wam zapłać za troskliwość. Zacny to kawaler pan Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby się o tem mówić.

— Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilsza?

— Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże, nieufność pokazać! Bogu lepiej dziękujmy!

— Co tu zawczasu dziękować! Jak będzie za co, to

i dziękować, a nie, to nie dziękować — odpowiedział posępny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin, bardzo był ostrożny i przewidujący.

— A o ślubie wy mówili? — pytał znów Kasjan.

Oleńka spuściła oczy:

— Pan Kmicic chce jak najprędzej...

— Ot, co! jeszczeby nie k c i a ł ! — mruknął Józwa — chybaby głupi! A któryż to niedźwiedź nie k c e miodu z barci? Ale poco się śpieszyć, czy to nie lepiej zobaczyć, co za człowiek jest? Ojcze Kasjanie, taż już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako zając o południu pod skibą!

— Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, coby rzec — odpowiedział staruszek. — Pan Jezus powiedział tak: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kmicicowi źle nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

— Byle był po naszej myśli! — dodał Józwa.

Billewiczówna zmarszczyła swe sokole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

— Pamiętajcie asanowie, że nie sługę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi waćpanów zastąpić.

— To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? — pytał Józwa.

— To znaczy, żebyście mu przyjaciołmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecież on tu własnego dobra strzeże, którem każdy wedle upodobania rządzi. Zali nieprawda, ojcze Pakoszu?

— Święta prawda! — odrzekł pacunelski staruszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

— Nie drzemcie, ojcze Kasjanie!

— Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę.

— To mówcie, co widzicie.

— Co widzę? ot co widzę... Familjant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz

przytem sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jak najwięcej! Ale kompanję ma nicpotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewiczów słyszeli? Że to wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamje są i kondemnaty i protesta i inkwizycje. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajechali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła tatarskim procederem żyli i dawnoby im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekcja pana Kmicica, któren jest możny pan! Ten ich miłuje i osłania i przy nim się wieszają, jak latem bąki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są. To pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili — i do kogo? — do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.

— Nie może być! nie może być!

— Może, bo było! Dobrodziejów pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewki dworskie powciągali do izby dla rozpusty!... Tfu! obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozpusty! Pierwszego dnia!...

Tu stary Kasjan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki biły ciemne rumieńce, a Józwa ozwał się:

— A to wojsko pana Kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydło zrabowali jacyś ludzie, mówią, że pana Kmicica; chłopów mejzagolskich, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało, jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i stróżuj, a czemu, bo pan Kmicic z kompanją przyjechał.

— Ojcze Józwa! nie mówcie tak! nie mówcie! — zawołała Oleńka.

— A jak mam mówić? Jeżeli pan Kmicic nie winien, to poco takich ludzi trzyma, poco z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził, albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tem gada!

— Co ja mam czynić? — pytała Oleńka. — Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moją prośbę?

— Jeśli nie wypędzi, — mruknął zcicha Józwa, — to sam taki!

Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.

— Zresztą niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich! Jeśli to prawda, co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulęknę...

— My ci pomożem! — rzekł Józwa.

— Dlaboga! — mówiła Oleńka, unosząc się coraz bardziej — niech sobie czynią co chcą, ale nie tu w Lubiczu... Niech będą jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! hańba!... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to widzę, zdrajcy niegodni, którzy i siebie i jego plamią. Tak jest! źle im z oczu patrzyło, ale ja głupia nie poznałam się na tem. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

— To! to! to! — rzekł stary Kasjan. — Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.

— Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem

i hańbę na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi. Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przedewszystkiem winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

— Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nietylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

— My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze — mówił stary Kasjan. — My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz zamłodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

— A pies? — mówił wzruszonym głosem pacunelski, łagodny staruszek. — Pójdziesz z młodym w pole, a on durny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

— Nie płacz! — rzekł Józwa Butrym.

— Nie płacz, nie płacz!... powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać i tłumaczyć. A ta kompanja! Drobne ręce panny zaciskały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaura i innych i dostrzegła w nich, czego pierwej nie wiedziała: że były to bezczelne twarze na których błazeństwo, rozpusta

i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać, jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

— Wstyd! sromota! — szeptała do się dziewczyna zbladłemi usty. — Co wieczora wracał ode mnie do dziewek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemię tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pośpiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów — natychmiast! Ale co jej pozostaje?... Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanjonów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

— Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tem.

Rozmyślania panienki przerwał pachołek, który wniósł naręcz jałowcowych drewek do komina i rzuciwszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle z pod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

— Kostek! — rzekła — siędziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, proś, żeby tu przyjechał, a jeśli go niemasz, to niech włódarz, stary Znikis, siada z tobą i zaraz do mnie przybywa, a żywo!

Chłopak rzucił szczepek smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie. Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy.

— Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! — pomyślała sobie — a może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili...

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem billewiczowskim ze służbą, prządek pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

— Znikis jest w sieni! — rzekł. — Pana niemasz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił się jej do nóg.

— A jak tobie zdrowie, jasna dziedziczko?... Bóg daj najlepsze!

Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

— Co u was słychać? — pytała panienka.

Chłop kiwnął ręką.

— At! pana niema...

— To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu co się dzieje?

— At!...

— Słuchaj Znikis, mów śmiele, włos ci z głowy nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompanja swawolniki?

— Żeby to, jasna panienko, swawolniki!

— Mów szczerze.

— Kiedy, panienko, mnie nie wolno... ja się boję... Mnie zakazali.

— Kto zakazał?

— Pan...

Tak? — rzekła panna.

Nastała chwila milczenia. Ona chodziła śpiesznie po pokoju ze ściśniętemi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

— Czyj ty jesteś?

— A billewiczowski Jaś z Wodoktów, nie z Lubicza.

— Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

— Panienko jasna, ja tam nie kcę wracać, tam sądny

dzień!... To panienko zbóje i zbereźniki, tam człek dnia i godziny niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ugodzona. Pobladła bardzo, ale spytała spokojnie:

— Prawda-li to, że strzelali w izbie do wizerunków?

— Jak nie strzelali! I dziewki ciągali po komnatach i codzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

— I stajennego rozszczepili?...

— A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już im dworskich niedość i po wsi łowią...

Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły na twarz panny i nie znikały już więcej.

— Kiedy się tam pana spodziewają zpowrotem?...

— Oni, panienko, nie wiedzą, jeno słyszałem jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanji do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o czeladź prosić i o prochy, że tam mogą być potrzebne.

— Mają tu wstąpić?... to dobrze. Idź teraz Znikis do kuchni. Już nie wrócisz do Lubicza.

— A, żeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie Kokosiński, Uhlik, Kulwiec-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony; ale oni myśleli, że to nieobecność pana

Kmicica czyni ją tak ostrożną i nie poznali się na niczem.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już niż za pierwszym razem i rzekł:

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodzice do stópek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieść kazała i z nami jechać. Weźmiemy szturmem Upitę i łyczkom trochę krwi upuścimy.

— Dziwi mnie, — odrzekła Billewiczówna, — że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał po ptasiemu zagwizdać, Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie.

— Jako żywo! — rzekł — myślałby kto, że waćpanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia niema, przyszliśmy do takowej konwikcji, że się tam mógł znaczny jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

— Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, coby się i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzejby się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

— Trudno nam z waćpanną deliberować. Prosim tylko o prochy i ludzi.

— Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan!

— Czy ja dobrze słyszę? — rzekł Kokosiński. — Jakto waćpanna nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi na ratunek, będziesz waćpanna żałowała? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

— Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompanja!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice, i podniósłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabijakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

— Zdrajcy! — rzekła — wy to go jak złe duchy do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszą rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? — na niego — przez was banitów i infamisów!

— Hej! na rany boskie, towarzysze! słyszycie? — zakrzyknął Kokosiński. — Hej! co to jest? zali nie śpimy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

— Precz stąd! — rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jeno zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojeściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną. Więc zgryźli w milczeniu gniew, o ona ciągle stała z roziskrzonem okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Nakoniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

— Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... politycznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy, skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić.

Wreszcie Kokosiński rzekł:

— Cóż mili barankowie?

— A cóż?

— Dobrze wam?

— A tobie dobrze?

— Ej! żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! — rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce — pohulalibyśmy tu z panienką po naszemu!...

— Idź, zadrzyj z Kmicicem! — zapiszczał Rekuć. — Stań mu!

Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już pokryta piętnami.

— I jemu stanę i tobie warchole, gdzie chcesz!

— A to i dobrze! — rzekł Rekuć.

Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

— Na tę pięść! — rzekł, potrząsając jakoby bochnem chleba, — na tę pięść! — powtórzył — pierwszemu, który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy, poglądał to na jednego, to na drugiego, jakoby pytając niemo, który pierwszy zechce popróbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoili się zaraz.

— Kulwiec ma rację! — rzekł Kokosiński. — Moi mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż kiedykolwiek... Jabym radził ruszać co prędzej do Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisałaby nas jako djabłów. Dobrze, że tam żaden na nią nie warknął, choć mnie samemu świerzbiały ręce i język... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas podbechtać, to lepiej my go wpierw podbechtajmy. Nie daj Boże, aby nas opuścił. Zarazby tu obławę na nas, jak na wilków uczyniono.

— Furda! — rzekł Ranicki. — Nic nam nie uczynią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partję, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają. Daj rękę Rekuć, odpuszczam ci!

— Byłbym ci uszy obciął, — zapiszczał Rekuć, — ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzja spotkała.

— Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! — rzekł Kokosiński.

— I mnie, w którym senatorska krew płynie! — dodał Ranicki.

— Ludziom godnym! familjantom!

— Żołnierzom zasłużonym!

— I exulom!

— Sierotom niewinnym!

— Mam buty wyporkiem podszyte, ale już mi nogi marzną — rzekł Kulwiec. — Co będziemy jak dziady pod tym domem stali; nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czeladź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

— Do Upity!

— Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

— Bylebyśmy go nie minęli.

— Na koń, towarzysze! na koń!

Siedli i ruszyli stępa, gniew i wstyd przeżuwając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

— Ej, krwi mi! ej, krwi!

— Niechby się tylko z Kmicicem pokłócili, — rzekł Kokosiński, — przyjechalibyśmy tu z hubką.

— Może to być.

— Boże nam pomóż! — dodał Uhlik.

— Pogańska córka, cieciorka zaciekła!...

Tak klnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

— Stul gębę! — krzyknął na Zenda Ranicki. — Jeszcze nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wrońska, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali, jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dosyć jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jak zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała na nieznanych jeźdźców, wpół się domyślając, co to za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuście w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach, których pan Kmicic przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezjach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani; miny rzęsiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od czasu do czasu: — Z drogi! — Jaki taki z Butrymów spojrzał zpodełba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

— Uważcie, mości panowie, — mówił Kokosiński, — jakie tu chłopy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

— Żeby nie ten wzrost i żeby nie szabliska, możnaby ich wziąć za chamów — rzekł Uhlik.

— Obaczcie-no te szablice! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! — zauważył Ranicki. — Chciałbym się z którym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

— Onby tak, jabym tak! Onby tak, jabym tak — i szach!

— Łatwo sobie możesz owe gaudium uczynić — zauważył Rekuć. — Z nimi nie trzeba wiele.

— Wolałbym się ja z temi oto dziewczętami popróbować! — rzekł nagle Zend.

— Świece nie panny! — wykrzyknął z zapałem Rekuć.

— Co waść mówisz: świece? — sosny! A pyski u każdej, jakoby krokoszem malowane.

— Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysią. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. To też przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani, wysłanych grochowinami i tyleż koni posiodłanych.

— Napijmy się gorzałki, bo zimno! — rzekł Kokosiński.

— Nie zawadzi! — odparł chór jednogłośny.

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkownej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta siedząc na ławach lub stojąc gromadami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopy duże, ponure i tak małomówne, że w izbie prawie nie było słychać gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału albo rosieńskiego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli po poczęści ludzie starzy od lat sześćdziesięciu lub wyrostkowie do dwudziestu. Ci dla omłotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrzawszy orszańskich kawalerów, odsunęli się od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny moderunek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem

też który słowo puścił: — To z Lubicza? — Tak, pana Kmicicowa kompanja! — To ci? — A jakże!

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwietrzył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić, spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnawo. Okna śnieg zasuł, a długi, niski otwór gruby, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawalerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wodoktach i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta poczęła się zbliżać rozweselona, zwłaszcza młodzi, potężni wyrostkowie o szerokich barach i pucołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał — nagle przestał i po chwili obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zająca; zając beczał w ostatniej agonji, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasnął rozpaczliwie i zamilkł na wieki — a na jego miejsce rogacz odezwał się potężnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekucia:

— Sikorki siedzą wedle gruby!

— A prawda! — rzekł Kokosiński, przysłaniając oczy ręką.

— Jako żywo! — powtórzył Uhlik — jeno w izbie tak ciemno, żem nie mógł rozeznać.

— Ciekaw jestem, co one tam robią?

— Może na tańce przychodzą.

— A poczckajcie, spytam! — rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos, pytał:

— Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?

— Nogi grzejem! — ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy niem na długiej ławie z dziesięć niewiast, starszych i młodszych, trzymających bose nogi na klocu, leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kloca suszyły się przemokłe od śniegu buty.

— To waćpanny nogi grzejecie? — spytał Kokosiński.

— Bo zmarzły.

— Bardzo grzeczne nóżki! — zapiszczał Rekuć, pochylając się ku klocowi.

— At! odczep się waszmość! — rzekła jedna z szlachcianek.

— Radbym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, któren sposób jest następujący: jeno potańcować z ochotą, a zamróz pójdzie precz!

— Kiedy potańcować, to potańcować! — rzekł pan Uhlik. — Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem, niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się zkolei, bo przeciw potańcowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty, niktby bardzo nie protestował, ale reputacja „kompanji“ była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławicy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaura, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

— Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?...

Kulwiec-Hippocentarus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.

— Wolę z dziewczyną, — odrzekł, — a z waścią to chyba potem...

Wtem nadbiegł Ranicki, z twarzą już pocętkowaną plamami, bo już burdę poczuł.

— Coś za jeden, zawalidrogo? — pytał, chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

— Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie, starcy potężni i wyrostki ogromne; poczęli się także skupiać, pomrukując, jak niedźwiedzie.

— Czego chcecie, guzów szukacie? — pytał Kokosiński.

— At! co gadać! poszli precz! — rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę rękojeścią w piersi, aż się rozległo w całej izbie i krzyknął:

— Bij!

Rapiery zabłysły, rozległ się wrzask niewiast, szczęk szabel, zgiełk i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą wedle stołu zgruba ciosaną ławę i podniósłszy ją, jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

— Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przysłonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać...

ROZDZIAŁ V.

Tegoż samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów, na czele stu kilkunastu ludzi, których ze sobą z Upity przyprowadził, żeby ich do Kiejdan hetmanowi w. odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małem miasteczku niemasz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan, żołnierz musi się uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, który tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolentarzy pana Kmicica, żeby dojść do przekonania,

iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć. I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana w., nieprzyjaciel zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu cofnęły się na pewien czas do Birż i Kiejdan, aby tam przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mścisławska i mińska, albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze niezajętych. Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie, zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! mało było takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał, prócz pana Kmicica, który czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazją rycerską, niż patrjotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty, brał ludzi, jakich mógł znaleźć — więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachołków miejskich lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a potem łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą skąd miał brać prowjant i broń i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszy karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczaił się do krwi przelewu, tak, że nielada

co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zasłynęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywatelstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący Ranicki — tam zawsze można było pytać: obrońcy-li to, czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łzy i życie ludzkie.

Kompanjonowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinna nie ciężyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cuglów swej bujnej naturze popuszczał.

Takie to było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się, ujrzawszy ich przez okno; tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny, jedni w hełmach pobranych na nieprzyjacielu, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezjach, inni w kożuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych, poszerszeniałych koniach, ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przytem może i chytrość niewieścia grała w tem pewną rolę, bo trzeba było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanji,

więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna najprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

— Miłuje mnie! niemasz wątpliwości! — pomyślała.

A on mówił:

— Jużem się tak stęsknił, żem całą Upitę chciał spalić, byle do cię jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ściśnie tych łyków.

— Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

— I! co za bitwa! Żołnierze poczęli trochę łyczków tarmosić...

— Aleś to waćpan uspokoił?

— Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiędę trochę, bom się strudził. Ej! ciepłoż tu, ej! miło w tych Wodoktach, jako właśnie w raju. Radby tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego nie zawadziłoby także, bo na dworze mróz okrutny.

— Zaraz każę waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

— A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydlęcego nieco rozgrzali. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

— Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi w oczach pojaśniało i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to znów wąsa młodego pokręcał, namyślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

— Trzeba szczerą prawdę wyznać, — mruczał pod nosem, — niema rady, choćby kompanja mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził i znów czuprynę na czoło nagarniał,

wreszcie zniecierpliwił się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gosposia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagrzanego węgrzyna i puharek, rznięty ze szkła, z herben Kmiciców. Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrzawszy gosposię, poskoczył ku niej.

— Hej! — zawołał — rączyny obydwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swoją jasną główkę, bronioną tylko przez opar, wychodzący z garnuszka.

— Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, poczem zakrzyknął:

— Jak Bóg w niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!

— Waćpanu dawno się już pomieszał... Siadaj, siadaj.

Usiadł posłusznie; ona zaś nalała mu polewki w puharek.

— Mówże teraz, jakeś to w Upicie winnych sądził?

— W Upicie? Jako Salomon!

— To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:

— Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnacje na prowjanty od hetmana wielkiego, albo od pana podskarbiego. „Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i egzakcyj nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowjanty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą“.

— Mieli słuszność, czy nie mieli?

— Słuszność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a po staremu, kto ma szablę, ten ma zawsze lepszą

rację. Powiadają tedy łyczkom: „Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacje!“ I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodół, kilku też łyczków uspokoili...

— Jakto uspokoili?

— Kto weźmie szablą po łbie, to spokojny jak trusia.

— Dlaboga! oż to zabójstwo!

— Właśniem na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniami i skargami na opresję, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladują. „Brzuchy mamy puste — mówili — co nam czynić?“ Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyślał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedy to nie zaczną płakać: „Niechby już i asygnacyj nie dawali — prawią — ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specjałów, a my sami ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzów odpowiesz“.

— Bóg waćpana będzie błogosławił, — zawołała Oleńka, — jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi, uczynił!

— Jeślim uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do winy przyznać i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

— Mój królu! — zawołał wreszcie żałosnym głosem — mój klejnocie!... nie gniewaj się na mnie...

— Cóżeś znów waćpan uczynił? — pytała niespokojnie Oleńka.

— Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! — wyrecytował jednym tchem pan Andrzej.

Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pogrążyła się w milczeniu.

— Zetnij szyję! — wołał Kmicic — ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

— Jeszcze? — jęknęła panna.

— Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pachołków z oficyjerami. Tych przepłoszyłem, a oficjerów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskiem uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.

— Waćpan nie masz wstydu i sumienia! — rzekła.

Kmicic spojrzał zdziwiony, zamilkł na chwilę, poczem spytał zmienionym głosem:

— Prawdę-li mówisz, czy udajesz?

— Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacja waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwo przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

— Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

— Ale niemasz infamji na tych chudopachołkach, niemasz hańby na niczyjem imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą, prócz waćpana!

— Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i ladajaką partję zebrać potrafi. Co mi uczynią, kogo ja się tu boję?

— Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tem, że ja się boję gniewu Bożego... i łez ludzkich się boję, i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej, niż niejednemu, który się kawalerem powiada.

— Na Boga! nie groźże mi rekuzą, bo mnie jeszcze nie znasz...

— O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!

Oczy Kmicica poczęły iskry sypać, ale i w niej się rozigrała krew billewiczowska.

— Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! — mówiła śmiało

dalej — jać się nie ulęknę, chociażem sama, a waść masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżeście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Waść to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mojego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichszym już głosem:

— Kto ci o owem strzelaniu mówił?

— Wszystka szlachta z okolicy o tem mówi.

— Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość... — odparł posępnie Kmicic. — Ale to stało się po pijanemu... w kompanji... jako, że żołnierze pohamować się nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał.

— Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...

— To nie zbóje, to moi oficyjerowie...

— Ja tym waćpana oficyjerom kazałam pójść precz z mego domu!

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największem zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanjonów żadnego na Kmicicu nie uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

— Kazałaś im pójść precz? — spytał.

— Tak jest.

— A oni poszli?

— Tak jest.

— Dalibóg, kawalerska w tobie fantazja! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zadrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmicicem!... Widzisz! wynieśli się pokornie jak barankowie — widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrzał chełpliwie na Oleńkę i wąsa począł pokręcać; ją zaś rozgniewała doreszty ta zmienność

humoru i ta niewczesna chełpliwość, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

— Waćpan musisz wybrać między mną a nimi, inaczej być nie może!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

— A poco mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, co się podoba; ale jeżeli moi kompanjonowie żadnej tu krzywdy, ani swawoli się nie dopuścili, to zacóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać. Żadne krewieństwo tak nie związuje, jak wspólna służba. Wiedz o tem, że oni mało tysiąc razy ratowali mi życie; że ich prawo ściga, to tem bardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to prawie wszystko i familjanci, za wyjątkiem Zenda, któren jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kalwakatora niemasz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptastwo wszelakie udaje, samabyś go polubiła.

Tu pan Andrzej rozśmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. To wszystko, co mówiła mu o opinji ludzkiej, o potrzebie statku, o niesławie, ześlizgiwało się po nim, jak grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić?

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła wreszcie. — Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

— Ja się ciebie wyrzekam? — pytał Kmicic z największem zdumieniem.

— Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie

ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, banitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

— Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czegobym potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszczą, jeślim ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

— Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjaciel, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katujesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

— Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Ratujcież mnie anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam nawet król i wszyscy djabli rogami przystępu bronili, a choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

— Nie wzywajże złych duchów, bo cię usłyszą! — zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

— Czego ode mnie chcesz?

— Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastała cisza. Słychać było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancerz, pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział co jej odrzec, jak się bronić. Potem począł chodzić szybkiemi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrzenie i żal. Było im ze sobą ciężko i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

— Bądź zdrowa! — rzekł nagle Kmicic.

— Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! — odrzekła Oleńka.

— Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

— A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? ... odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zawrócił się, i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce i rzekł:

— Na rany Chrystusa! czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Bijże mnie, kto w Boga wierzy! bij, nie żałuj!

Nakoniec wybuchnął:

— Nie płacz, Oleńko! Dlaboga, nie płacz! Com ci winien! Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej... bo cię miłuję... Dlaboga! serce mi się rozpęknie... uczynię wszystko, jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspokajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:

— Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył zpowrotem do Lubicza, a za nim poczłapali żołnierze, rozciągnąwszy się wężem po szerokim gościńcu. Jechali przez Wołmontowicze, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

— Panie rotmistrzu, — spytał, — a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

— Ruszaj precz! — odpowiedział Kmicic.

I jechał na przodzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przedewszystkiem złość na samego siebie. Pierwsza to była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia i rachunek ten cięży mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacją i cóż uczynił, aby ją poprawić?

Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na prezydjum poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi... Uczynią mu proces — przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecież nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partję zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie w sercach ludzkich i w jego własnem sumieniu i w sercu Oleńki...

Tu, gdy wspomniał, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą, jak anieli niebiescy. I ot! brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz wrócić, co koń wyskoczy, i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dzisiaj twarz jego.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. ... Na Pannę Najświętszą! — myślał w duszy — uczynię co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają.

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza, zastanie ich najpewniej pijanych, albo z dziewczętami i chwyciła go taka złość, że mu się chciało szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził i siec ich bez miłosierdzia.

— Dam ja im! — mruczał, targając wąs — jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trędzlę

targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to, mruczał do żołnierzy:

— Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg wpaść mu pod rękę...

Jakoż pan Anrzej biesił się rzeczywiście. Naokoło był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie, niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach — jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała mu się tak długa, jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawem światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, coprawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie, na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomenderował:

— W konie!...

Pomknął, jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach i na pustych polach lecieli jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, iz czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero, gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrocie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć, ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od świateł, usłyszeć głos Uhlikowego czekanika, skrzypków, albo wesołe okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światełko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by potrzymać strzemię rotmistrzowi.

— Iść spać! — rzekł Kmicic — kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie

wstawić do obór, stodół i przynieść im siana z odryny.

— Słucham! — odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zlazł z konia. Drzwi od sieni otwarte były narozcież, a sień wyziębiona.

— Hej tam! jest tam kto? — wołał Kmicic.

Nikt się nie ozwał.

— Hej tam! — powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Popili się!... — mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łojowy czerwonem, dymiącem światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiał płomieniem, tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej nic dojrzeć. Dopiero, gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci, leżących równo pod ścianą.

— Popili się naumór, czy co? — mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonji nogą.

— Wstawajcie tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłemi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą nawznak, w jednakowej pozycji i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym

pasie, bo twarz i głowa przedstawiały jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydną, bez oczu, nosa i ust — tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi zkolei leżał Zend z wyszczerzonemi zębami i wyszłemi nawierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci zkolei Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszów, bo dawny sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno zboku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zapewne sztychem zadaną. Piąty zkolei leżał olbrzymi pan Kulwiec-Hippocentaurus z żupanem podartym na piersiach i posiekaną gęstemi razami twarzą. Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekuciowi, w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać zlekka rannym.

— Rekuć, Rekuć! — wołał — to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały naprzemian.

— To ja! — rzekł Kmicic.

Oczy Rekucia otwarły się na chwilę zupełnie — poznał twarz przyjaciela i jęknął zcicha:

— Jędruś!... księdza!...

— Kto was pobił?! — krzyczał Kmicic, chwytając się za włosy.

— Bu-try-my... — ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszalny.

Poczem Rekuć wyprężył się, zesztywniał, otwarte oczy stanęły mu w słup — i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek — sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy, jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie

wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzał na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

— Bywaj kto żyw! Bywaj!

Żołnierze, którzy roztasowywali się w czeladnej, posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.

— Pobici! pobici! — powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przylecieli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach. Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań, jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i — przeciw swej naturze — spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciał nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

— Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

— Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowem światłem, wychodzącem jakby z pod ziemi; stopniowo niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekłbyś od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona łuna

oblała całą okolicę. Jedno morze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i iskier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i zślepłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów, zbierały się po drogach, przed domami i poglądając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust trwożliwe wieści: — Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwyczajny pożar!

Huk rusznic, dochodzący od czasu do czasu z oddali, potwierdzał te przypuszczenia.

— Pójdźmy na pomoc! — wołali śmielsi — nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodsi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

— Oleńko! wstawaj! — wołała panna Franciszka Kulwiecówna.

— Niech ciotunia wejdzie! Co tam się dzieje?

— Wołmontowicze się palą!

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

— Strzały aż tu słychać, tam bitwa! Boże zmiłuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, poczem wyskoczyła z łóżka i poczęła śpiesznie szaty narzucać. Ciało jej dygotało, jak we febrze. Ona jedna domyśliła się odrazu, co to za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanję za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na

równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi.

— Nie otwierać! nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem, między zgromadzone niewiasty, wpadł pachołek Kostek.

— Panienko! — wołał — jakiś człek stuka, otwierać, czy nie?

— Sam-li jest?

— Sam.

— Idź, otwórz!

Pachołek skoczył, ona zaś chwyciwszy świecę, przeszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szczęk żelaznej zapory, skrzypienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

— Koń mi pod lasem padł! — krzyknął — ścigają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiła weń oczy:

— Waść spaliłeś Wołmontowicze?

— Ja!... Ja...

Chciał coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Djabli po mą duszę!... dobrze! — krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Panna Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do prządek:

— Jeśli będą pytać, powiedzieć, iż niemasz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjść!...

Poczem do Kmicica:

— Waść tam! — rzekła ukazując na przyległą izbę.

I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewicze, Domaszewicze i inni wpadli do domu. Ujrzawszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej — ona zaś stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

— Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? — pytała, nie mrużąc oczu przed groźnemi spojrzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

— Kmicic spalił Wołmontowicze! — krzyknęła chórem szlachta. — Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...

— My ludzi jego wybili! — rozległ się głos Butryma Józwy — a teraz jego głowy chcemy!...

— Jego głowy! krwi! Rozsiekać zbójcę!

— Gońcie go! — zawołała panna. — Czegoż tu stoicie? gońcie!

— Zali nie tu się schronił? My konia pod lasem znaleźli...

— Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

— W las uszedł! — zawołał jakiś szlachcic. — Hajże, panowie bracia!

— Milczeć! — huknął potężnym głosem Józwa Butrym. — Panno! — rzekł. — Nie ukrywaj go!... To człek przeklęty!

— Oleńka podniosła obie ręce nad głowę:

— Przeklinam go wraz z wami!...

— Amen! — krzyknęła szlachta. — Do zabudowań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

— Hajże! Hajże!

Szczęk szabel i stąpanie rozległo się na nowo. Szlachta wypadła przed ganek i siadała co prędzej na koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudowaniach, w stajniach, oborach, w odrynie — potem głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nadsłuchiwała, dopóki zupełnie nie znikły, poczem zapukała gorączkowo do drzwi komnaty, w której ukryła pana Andrzeja.

— Niema już nikogo! wychodź waść!

Pan Kmicic wytoczył się z izby, jak pijany.

— Oleńka! — zaczął.

Ona wstrząsnęła rozpuszczonemi włosami, które pokrywały niby płaszczem jej plecy.

— Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia i uchodź stąd!...

— Oleńka! — jęknął Kmicic, wyciągając ręce.

— Krew na waćpana ręku, jako na Kainowem! — krzyknęła, odskakując jakby na widok węża. — Precz, na wieki!...

ROZDZIAŁ VI.

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach, zgliszcza domów, zabudowań gospodarskich, popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach, wśród dogasających węgli, gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków lub ostatków mienia. Był to dzień żałości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięstwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów, których padło najwięcej, nie było zaścianka, w którymby wdowy nie opłakiwały mężów, rodzice synów lub dzieci ojców. Tem trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najtężsi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni dali gardła w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się dostał do puszczy Zielonki, a stamtąd do Rogowskiej,

gdzie chyba jedni Domaszewicze mogli go wyśledzić. Wielu twierdziło też, że do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to, co najmniej, obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzelcom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach do obrony; spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schyllingowie, Sołłohuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto, spodziewające się oblężenia. A zaś pomiędzy zbrojnymi ludźmi, pomiędzy szlachtą, między gromadami niewiast, chodziła żałobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przeszywały jej serce, bo przecież ona była pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Dla niej to przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobił, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która go najbliżej poznała, wiedziała o tem najlepiej. Była cała przepaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego jakiż bol sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny; że miał w sobie takie przymioty, które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada; że mógł zyskać zamiast wzgardy, podziw i miłość ludzką — zamiast przekleństw, błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chwytał

ją żal prawdziwie niezmierzony nad tym nieszczęśnikiem i niewygasła miłość nurtowała na nowo w sercu, podsycana świeżem wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków do chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawemi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojno poprzeć, zbyt był sprawami publicznemi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamysłach, tyczących się domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choóby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa, stawał się łupem postronnym, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda cała, protestując przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadła z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli lżej oddychać. Możniejsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na straż do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęła się zwolna rozjeżdżać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota

prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki dosięgnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majętność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przytem w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nietylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Burtrymom go oddać, ale „panienka“ odradziła stanowczo.

— Nie płaćcie gwałtem za gwałt, — mówiła, — bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek możny i skoligacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racja będzie tak jasna, aby każdy sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie brali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelakiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic napowrót się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów, wszystko, co wychodzi z ust billewiczowskich za ewangelję uważać — i Lubicz pozostał nietknięty — i pan

Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby był do czasu spokojnie w Lubiczu osiąść.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nieznany. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a ktoby mu co złego uczynił, tedy on mu tem samem rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towarzyszów moich — wbrew prawom boskim i ludzkim — bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jakaby ich nigdzie, nawet u kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to ś. p. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroiły ramię moje, wtedy właśnie, gdym — świadczę się Bogiem! — o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój cale odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mi teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respektuje. Bogdajby się to nie stało, co mi w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy, najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacji sypiam i w desperacji się budzę, nie mogąc ciebie, ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamji, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami, wszystko zniosę, wszystko

przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacji nieprzyjacielskiej i majętności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane, i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacja popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków...“

Ile tam głosów litośnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość, jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwem mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecież za pierwszem słowem o wszystkiem zapomnieć, wszystkiego przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakże to mogła powiedzieć człowiekowi, który okrwawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: „Przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie, oddaję ci swą miłość i swoją rękę“.

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakem waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tem, choćby mi się serce miało rozedrzeć. Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majętnością, ni pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie majętność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy, to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja cię przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi,

tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzie indziej szczęścia, najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze...“

Panna Aleksandra polała łzami każde słowo listu, potem zapieczętowała go billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

— Skąd jesteś? — pytała, obrzucając wzrokiem tę dziwaczną postać pół-chłopa, pół-sługi.

— Z lasu, panoczko.

— A gdzie twój pan?

— Tego mi nie wolno powiedzieć... Ale on stąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.

— Masz talara! — rzekła Oleńka. — A twój pan nie w chorobie?

— Zdrowy on junak, jak tur.

— A nie w głodzie? nie w ubóstwie?

— On bogaty pan.

— Idź z Bogiem.

— Kłaniam do nóg.

— Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł — i znowu zaczęły płynąć dnie, tygodnie bez wieści o Kmicicu; przychodziły zato publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska moskiewskie Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukrainnych, w samem Wielkiem Księstwie województwa połockie, smoleńskie, witebskie, mścisławskie, mińskie i nowogródzkie były zajęte; jeno część wileńskiego, brzeskolitewskie, trockie i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze wolną piersią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni widać szczebel niemocy zeszła Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z któremi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra

stugłowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach, i statyści i wojownicy zaręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nietylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała owej możności na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze niezajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędzy i rozpaczy. Miejscowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia — więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, stąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo, nietylko w lasach, ale i na polach. Gdy zeszłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grasować głód, brat wojny. I rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu nietrudno było spotkać trupy ludzkie, leżące po polach, przy drogach, skostniałe, ogryzione przez wilki, które rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całemi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkiem o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyskiwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomyślne i te nieszczęścia dotąd niebywałe, do imienia królewskiego są przywiązane. Tłumaczono chętnie, że litery: J. C. R. wybite na pieniążkach, znaczą nietylko J o a n n e s C a s i m i r u s R e x, ale i I n i t i u m C a-

lamitatis Regni. A jeśli w prowincjach, jeszcze przez wojnę nie zajętych, powstawał taki przestrach i bezład, łatwo się domyśleć, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprężona, targana przez partje, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, poglądały na się, jakby nieprzyjacielskie państwa, a za niemi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbim W. Ks. L., prawie w otwartą zmieniła się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym oddawna była solą w oku potęga radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkiemi zaiste w. hetmana obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szkłowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej, niż szczęścia Rzeczypospolitej, pożądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś słali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach — na miejscu zaś rozprzęgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoroby po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzie niegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza, że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem ucierali się z wojskami nieprzyjacielskiemi, niewiele wprawdzie wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami go szarpiąc i przystęp

do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo aż do szkłowskiej przegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znaczniejszych korzyści. Gosiewski, to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ściągali wojska z leż zimowych i skąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje na nowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ściągać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel hamował. — Trzeba było o tem przed szkłowską potrzebą pomyśleć, — mówili gosiewszczycy, — teraz za późno. — I istotnie było za późno. Koronne wojska przyjść z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremotowi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach niebywałych, krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarnieckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało, ale sława za wojska, ani za pomoc starczyć nie mogła, więc hetmani litewscy ustępowali zwolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jeno kalwini ośmieleni bliskością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale zato przywódcy rozmaitych watah wolentarskich i partyj niewiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuścili swych łotrzyków — i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc znagła lepszy duch zapanował na Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie zwolna do zdrowia powracać począł, rozpuszczał wieści, że

król na wiosnę przyjdzie z zaciężnemi chorągwiami, poczem wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta poczęła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

ROZDZIAŁ VII.

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patrjarchy pacunelskiego, który miał reputację najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską! Jakoż trzy córki, które były za Butrynami, wyposażył hojnie dobrem srebrem, dawszy każdej po talarów sto, prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familjantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się słoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli w robocie pod Szkłowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewicze i Stakjanowie, a za nimi inni, dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczem nie zbywało. Ilekroć czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po cyrulika do Poniewieża, słowem wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze i medyka sławnego

na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, któryby i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wypędzeniu Kmicica, poszła rozmiłowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. — Co będziem dla niej męża po świecie szukać! — mówili starzy na umyślnej sesji, na której oną sprawę roztrząsano. — Gdy tamten zdrajca bezecnemi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możem na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera i my sąsiada i wodza dostaniem.

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi najprzód do pana Wołodyjowskiego, który niewiele myśląc, na wszystko się zgodził, a potem do „panienki“, która jeszcze mniej myśląc, stanowczo się sprzeciwiła. Lubiczem — rzekła — jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozporządzać i majętność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skażą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tem nie wspominajcie. Za dużo mam w sobie boleści, żebym o czemś podobnem myśleć mogła... Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywoźcie, bo wcale do niego nie wyjdę.

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodyjowski, a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosłe to były dziewczęta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabudki, a plecy szerokie. Pacunelki wogóle słynęły z piękności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! Do tego stary Gasztowt i na edukację nie żałował. Organista z Mitrunów nauczył

je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni. Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wołodyjowskim, jedna starając się ubiec drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były nazabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryśkę i Zonię, bo Terka na zdradliwość męską zbytnio miała zwyczaj narzekać.

Nieraz bywało długiemi wieczorami zimowemi, stary Gasztowt, podpiwszy krupniczkiem, spać idzie, a one z panem Wołodyjowskim siedzą wedle komina: milutka Terka kądziel przędzie, słodka Marysia darciem kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wołodyjowski zacznie opowiadać o wojnach, które przebył albo o dziwach, które widział w różnych magnackich domach, to robota ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: — Ach! ja nie żyję na świecie! Kochanieńcyż wy moi! — a druga odpowie: — Cała noc oka nie zmrużę!

Pan Wołodyjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora, zasiedli jak zwykle po wieczerzy pod okapem, z pod którego raźne światło padało na ciemną izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

— Sam waszmość zaśpiewaj! — odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał, — ja mam robota. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

— Pewnie, żem się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam najprzód, a waćpanna po mnie. Robota nie przepadnie. Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewniebyś się nie przeciwiła, mężczyźnie zawsześ oporna.

— Bo warto.

— Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?

— At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodyjowski zabrzdąkał w lutnię, nastroił pocieszną minę i zaintonował fałszywym głosem:

> Przyjechałem w takie miejsce,
> Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...

— Ot! to niesprawiedliwość! — przerwała Marysia, zarumieniwszy się jak malina.

— To jest żołnierska piosenka, — rzekł pan Wołodyjowski, — którąśmy śpiewali w hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.

— Jabym się pierwsza użaliła.

— Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam poco dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieśń pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrości, niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię „w ciupo“, poczęła śpiewać:

> Nie kodź do lasu, czypać bzu,
> I nie wierz kłopcu, jako psu!
> Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,
> Kiedy cię kocha, powiedz mu: „at!“

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął:

— Wszyscyż to chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesznurowała buzię i odśpiewała z podwójną energją:

> Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

— Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! — rzekła Marysia.

— Jak nie mam uważać, — rzecze pan Wołodyjowski,—

gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

— Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz — odpowiedziała nadąsana Terka.

— Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny — odparł rycerz; — co do śpiewania, muszę przyznać, żem i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyszał. Waćpannę tylko w pluderki przybrać, a mogłabyś u świętego Jana śpiewać, któren kościół jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

— A czemużby to ją w pluderki trzeba ubierać? — spytała najmłodsza Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

— Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jeno mężczyźni i młode chłopcy: jedni grubemi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, że i na skrzypcach cieniej nie można. Słyszałem ich wielekroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcję teraźniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnemi gorgami, i Kapuła, i Dżan Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Mielczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

— Ot, to i pewno! jako żywo! — rzekła, składając ręce Marysia.

— A Króla, wasza mość, często widywał? — pytała Zonia.

— Tak z nim gadałem jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mnie ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

— My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę zali zawsze ma na głowie?

— Zaśby tam co dnia w koronie chadzał; żelaznejby

na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie a król jegomość kapelusz czarny nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

— Powiadają, że zamek królewski to nawet od kiejdańskiego wspanialszy?

— Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W nich to waćpanny ujrzycie rozmaite wojny i wiktorje, pendzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława; napatrzyć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiorem albo lamą kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum, kwoli większej jeszcze rozrywki...

— Cóż to takiego teatrum?

— Jakżeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedje grają i skoki włoskie misterne wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą nadół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne...

— O Jezu! — zawołały pacunelki.

— ...Z djabłami. Czasem morze niezmierne, na niem okręty i syreny. Jedne persony spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

— Jenobym piekła widzieć nie chciała! — zakrzyknęła

Zonia — i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie pouciekają.

— Nietylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy, — odrzekł pan Wołodyjowski, — bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Niemasz w tem sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczty siadają.

— A zrana i w dzień co czynią?

— To zależy od humorów. Rano wstawszy, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której niemasz podłogi, jeno cynowy dół, jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

— Woda w komnacie... Słyszałyście?

— Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła, albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i pływać można w komnacie, jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku, jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i posłowie zagraniczni toż samo powiadają; żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzeczne nacje na świecie, przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu Swojem przyozdobił.

— Szczęśliwy nasz król! — westchnęła Terka.

— Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzeczpospolitą gnębią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą?... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie bywało. Najlichszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie doniedawna wojowali. Tak to Bóg pychę karze. Chwałaż Mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech... bo czas wielki,

czas za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

— Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

— Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpannami, ale im mi lepiej, tem mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racje dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi, co nie dla promocji, ale z afektu dla ojczyzny służą... a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż wkońcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

— Waćpan pójdziesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników.

— Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi, jak w Pacunelach!... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

— Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą, jak wilkołakiem.

— Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z tego, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę i majętność utracił.

— I pannę.

— I pannę. Siła o niej dobrego powiadają.

— Po całych dniach ona nieboga teraz jeno płacze i płacze...

— Hm! — rzekł pan Wołodyjowski — przecie nie po Kmiciciu płacze?

— Kto to wie! — rzekła Marysia.

— To tem gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądubyśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tem wiedzieć, że laudańscy wrócili i ani nosa nie pokaże.

— Mają podobno nasi znowu ruszyć, — rzekła

Terka, — bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.

— E! — rzecze pan Wołodyjowski — hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie niemasz. Desperacja prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy, pan Wołodyjowski wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni a głos jakiś począł krzyczeć za drzwiami przeraźliwie:

— Hej tam! na miłosierdzie Boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!...

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdołał jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznany człek, który rzucił się do nóg rycerza.

— Ratunku, jaśnie pułkowniku!... Panna porwana!...

— Jaka panna?

— W Wodoktach...

— Kmicic! — wykrzyknął pan Wołodyjowski.

— Kmicic! — zawołały dziewczęta.

— Kmicic! — powtórzył posłaniec.

— Ktoś ty jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— Włódarz z Wodoktów.

— My jego znamy! — rzekła Terka — on driakiew dla waszej mości woził.

Wtem z za pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabił do izby.

— Konie siodłać! — krzyknął pan Wołodyjowski. — Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

— U Butrymów ja już był, — rzekł włódarz, — bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

— Kiedy panna porwana? — pytał Wołodyjowski.

— Dopiero co... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł.

Stary Gasztowt przetarł oczy.

— Co? panna porwana?

— Tak jest... Kmicic ją porwał! — rzekł pan Wołodyjowski. — Jedziem z pomocą!

To rzekłszy, zwrócił się do posłańca:

— Ruszaj do Domaszewiczów, — rzekł — niech z rusznicami przybywają!

— Nuże i wy kozy! — krzyknął nagle stary na córki. ... Nuże kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?

— Pójdźmy i my budzić, — rzekł Wołodyjowski, — będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników: Ogarek i Syruć. Wszyscy puścili się drogą, między chatami zaścianku, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc wniebogłosy:

— Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicic w okolicy!...

Słysząc te wołania, jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy o co rzecz idzie, poczynał sam wrzeszczeć: — Kmicic w okolicy! Panna porwana! — i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć, albo do chaty, szabliska po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: — Kmicic w okolicy! — ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Nakoniec szlachta wysypała się na drogę, poczęści konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesłał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie zeszedł.

Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman w. odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni, mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed któremi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

— Stój! kto jedzie? — poczęły wołać głosy z owego oddziału.

— Gasztowtowie!

— My Butrymi, Domaszewicze już są.

— Kto u was dowodzi? — pytał pan Wołodyjowski.

— Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.

— Macie wieści?

— Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmontowicze nie przechodzić.

— Do Lubicza? — pytał ze zdziwieniem pan Wołodyjowski. — Cóż on się tam myśli bronić? Przecie Lubicz nie forteca?

— W siłę widać ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyna.

— Dobra nasza! — rzekł pan Wołodyjowski. — To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

— U nas Butrymów sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

— Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszecią bronic przepraw na bagnach — żywo! Reszta pójdzie za mną. O siekierach pamiętać!

— Wedle rozkazu!

Uczynił się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów, rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

— Gościewiczów nie widać? — pytał pan Wołodyjowski.

— A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! — zawołali nowo przybyli. — Gościewicze idą już... słychać ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

— Wiem. Niedaleko z nią zajedzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel — i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągało do Wołmontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewicze, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodyjowski sprawił oddział i aż mu serce rosło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodyjowski ucieszył się jeszcze i dlatego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi, owym borem, przez który Kmicic dawniej przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach błyszczących. Szlachta gwarzyła zcicha o nadzwyczajnem zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

— Chodzili tu rozmaici ludzie: — mówił jeden z Domaszewiczów — myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

— A jakże. Codzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów, niby po jałmużnę — odrzekł drugi.

— A co to za żołnierz przy Kmicicu?

— Czeladź z Wodoktów mówią, że kozacy. Pewnie się

Kmicic z Chowańskim albo z Żółtareńką zwąchał. Dotąd był zbójem; teraz zdrajca to już oczywisty.

— Jakżeby to on mógł kozaków aż tu przyprowadzić?

— Z tak wielką watahą niełatwo się przemknąć? Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze.

— Po pierwsze mógł lasami iść, a po drugie, małoż to panów z dworskimi kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół; jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami powiadali.

— Będzie on się bronił, — mówił jeden z Gościewiczów, — bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

— Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie stąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

— Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiejby było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

— Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili. Czy waszmościom wiadomo, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

— Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potencja i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a jużby ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł:

— Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którem pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności — widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za życia

wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął zcicha sam do siebie:

— Jeśli to są obcy kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krzątanina była okrutna. Jedni kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili napowrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

— Wasza mość! — rzekł — cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

— Nie wywiozą — odparł pan Wołodyjowski — nietylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznaję jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży.

— Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

— Dobrze! — odrzekł pan Wołodyjowski. — Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

— Ta jedna, bo ztyłu stawy i bagna.

— To dobrze... Z koni waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwarły się w długą linję i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu.

— Czekać komendy! — rzekł zcicha. — Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się

przez nie, pilnie, wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

— Hej! a szto za lude?

— Alt! — zakrzyknął pan Wołodyjowski. — Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

— Biegiem!

— Bij, zabij! — odkrzyknęli laudańscy, rzucając się naprzód, jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Najprzód szli murem potężni Butrymowie, najsrożsi w ręcznem spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, depcąc, niwecząc i tnąc zapamiętale; za nimi walili Domaszewicze i Gościewicze.

Kmicicowi bronili się mężnie z za wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie zdeptane zagasły i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta triumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część kozaków schroniła się do domu.

— Pod dwór! do drzwi! — zawołał pan Wołodyjowski.

— Rzeczywiście pod samemi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrze-

ciądze, niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków, nabijanych raz przy razie olbrzymiemi gwoździami, na których potężnych łbach szczerbiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopy parli od czasu do czasu ramionami i to próżno. Drzwi miały ztyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Huknęły znów strzały. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną piersią. Inni zamiast się zmieszać, rąbali tem zacieklej.

Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami, uczynionemi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopi z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie obłężonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

— Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój, do stu djabłów... rozmówmy się!

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał:

— Kto mówi?

— Chorąży orszański, Kmicic! — brzmiała odpowiedź. — A z kim mówi?

— Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

— Czołem! — ozwał się głos z za drzwi.

— Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

— Mnieby słuszniej zapytać: czego waść chcesz? Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

— Zdrajco! — zakrzyknął pan Michał. — Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przelaną, i za tę

pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest raptus puellae? Musisz tu gardło dać!

Nastała chwila milczenia.

— Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą, — rzekł znów Kmicic, — gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.

— To je otwórz... tego ci nie bronię!

— Pierwszej jeszcze niejeden kondel laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

— To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno!

— Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loncik już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastała jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał napróżno odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energji w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięsto mogło być jedną iskrą w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

— Dlaboga! — mruknął któryś z Butrymów — to szalony człek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przyszła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

— Jest inny sposób! — zakrzyknął. — Wychodź ze mną na szable! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!

Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich biły niespokojnie.

— Na szable? — spytał wreszcie Kmicic. — Może to być!

— Jeślić tchórz nie obłatuje, to i będzie!

— Parol kawalerski, że odjadę wolno?

— Parol...

— Nie może być! — krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

— Cicho waściowie, do stu djabłów! — huknął pan

Wołodyjowski — a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:

— Będzie tak, jak wasza mość chce...

— A cóż tam? — pytał szydersko Kmicic. — Szaraczki się zgadzają?

— I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

— Niech przysięgają!

— Kupą tu waszmościowie, kupą! — wołał pan Wołodyjowski na szlachtę, stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównemi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy, jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

— Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, żem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór, i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tem od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach zaprzysiąc musicie, na Boga Najwyższego i święty krzyż...

— Poczekajcie jeno! — zawołał Kmicic — wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

— Panna tu zostanie, — odparł pan Wołodyjowski, — a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

— Nie może być.

— To się prochami wysadzaj! Już my jej odżałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wolą...

Nastała znów cisza.

— Niechże tak będzie — rzekł po chwili Kmicic. — Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjecie jej pod ziemią! Przysięgajcie!

— Przysięgajcie! — powtórzył pan Wołodyjowski.

— Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty krzyż. Amen!

— No wychodź, wychodź waść! — rzekł pan Michał.

— Pilno waszmości na tamten świat?

— Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczękać.

Pan Wołodyjowski usunął się wtył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światełka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską, a młodą. Stanąwszy we drzwiach, spojrzał śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

— Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, ale mniejsza z tem!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

— Jam jest! — odrzekł.

— Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz, — rzekł Kmicic, czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza, — spodziewałem się zacniejszą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

— Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli, jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

— Gdzie staniemy? — spytał żywo Kmicic.

— Tu!... podwórzec równy jak stół.

— Zgoda! gotuj się na śmierć!

— Takiś waść pewien?

— Widać, żeś w Orszańskiem nie bywał, skoro o tem wątpisz... Nietylkom pewien, ale i żal mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... poco mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majętność i Bóg widzi, swego tylko dochodzę... Prawda jest, żem szlachtę w Wołmontowiczach wysiekł, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierwej został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficyjerowie, czy nie swawolnicy, mniejsza z tem, dość, że

tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi, jak psów wściekłych, za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany Boskie zaprzysięgnę, żem tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... po sąsiedzku. Lepiej wolę tak, jak inaczej...

— A jacyż to ludzie z waćpanem teraz przyszli? Skądże wziąłeś tych pomocników? — pytał pan Wołodyjowski.

— Skąd wziąłem, to wziąłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

— Takiś to?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś? A czemże mu za oną usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc, to inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawaj-no teraz, stawaj, bo wiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

— Chciałeś! — rzekł Kmicic, stając w pozycji.

Ale pan Wołodyjowski nie śpieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się naokoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna, — rzekł pan Wołodyjowski, — ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie! — zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty, — a skoczyć-no po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni;

niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie i po niejakim czasie blisko pięćdziesiąt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt!

A Kmicic odparł odrazu:

— Pułkownika chowają, to i pompa być musi!

— Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był, jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicic.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął, jakby z niechcenia, pan Kmicic odbił i przyciął zkolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmicic atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę wtył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok wtył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

— Pogawędzimy, — rzekł, — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... widać tam sami musicie groch młócić, bo waćpan machasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś to naprawdę w Orszańskiem najlepszy?... Ten cios jeno u pachołków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędzać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś“ — już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskieo i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał blady, z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

— Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunąwszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośne poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrywały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza nad mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą — i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął z za pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pienił się, rzęził, nakoniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

— Kończ... waść... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje, — rzekł Wołodyjowski, — nie padł nawznak!

I zagiąwszy połę Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

— Dobić zdrajcę!... dobić... rozsiekać!...

I kilku Butrymów biegło z dobytemi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach, szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmicicowej, jakby ją wicher porwał — pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącemi oczyma:

— Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu tego męża, on zaś rzekł:

— Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie szlachtą będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero przeciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.

— On zdrajca! — mruknął któryś z Butrymów. — Takiego godzi się bić.

— Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcję, niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrywać?

— Krzych Domaszewicz. On zdawna wszystkich na Laudzie opatruje.

— Niechże go zaraz opatrzy, potem na łoże go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapciami ludzi Kmicicowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwo kilkunastu, wypadłszy przez tylne okna domu,

skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmicicowych kazano kopać chłopom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski zaś szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku, położonym w rogu, do którego prowadziły ciężkie a maleńkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka, o wąskich, grubo kratowanych oknach zbudowana w kwadrat, z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicic był dom wysadził prochem, ta izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicic lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

— Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas z pod narzuconych włosów spojrzały na rycerza oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

— Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Wodoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni, strząsnęła wtył włosy i spytała:

— Kto waćpan jesteś?

— Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

— Słyszałam bitwę... strzały?... Mów waćpan...

— Tak jest. My to przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

— Dziękuję waści! — rzekła pośpiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. — A z tamtym co się stało?...

— Z Kmicicem? Nie bój się waópanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chełpliwością, ale, jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, nakoniec siada ciężko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo:

— Co waćpannie jest?

— Nic... nic... Czekaj waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

— Co mnie pan Kmicic! — przerwał Wołodyjowski — tu o pannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znowu i spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

— Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

— Pan Kmicic ranny — odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.

— Żyje?...

— Żyje.

— Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodyjowski stał przez chwilę, ruszając mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

— Zali mi ona dziękuje za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wynosiło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętemi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

— Wolno tam! — mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz — wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

— A czem będziem trzymać, kiedy ręce zajęte — odpowiedzieli idący w przedzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmicic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

— To panienka!... rzekł Krzych Domaszewicz.

— To ja... ostrożnie... — odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł.

— Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrów, bo młody. Ale tęgo dostał...

— Następnie zwrócił się do Oleńki:

— Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człeka nie bała się pokrwawić.

Tak mówiąc, wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniła się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

— Nic tu po waćpannie! Okazałeś chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza, rzekła:

— Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok i wiwatować, a ona szła blada, chwiejąca się, z zaciśniętemi ustami i ogniem w oczach.

— Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! — wołały potężne głosy.

W godzinę potem wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy człapali kupą bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosa pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy, patrzące z poza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

— Dziw, jak cudna! — mruczał sam do siebie — istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę, a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby ze samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłowę wyrozumie... Patrzyła na mnie, jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowej, czy z konfuzji...

ROZDZIAŁ VIII.

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecie to szlachta laudańska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekuzowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał po kawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; poprostu zdobył ją, jak fortecę... Czyjaż ona, jeśli nie jego? Może-li mu czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nużby popróbował? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla

niego zrazu afektu, to tem bardziej należy mu się o to postarać.

— A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

— Nie może być! — powtórzył sobie pan Wołodyjowski — gdyby go nie odpaliła, toby jej gwałtem nie brał. Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwyczajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciołmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej zamąż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacji, bo jużby poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnemi oczyma oglądać mogła.

— A i tobie czas się ustatkować, Michałku! — mówił do siebie pan Wołodyjowski. — Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe i z wielkiej krwi idące, ale milszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

— Co tu zwłóczyć! — mówił sobie. — Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecie co ojczyźnie winien i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów,

jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a jam się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko odrazu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyśpieszonych zapowiedziach ślub wziąć, albo zjeść arbuza.

— Jadłem nieraz, zjem i teraz! — mruczał pan Wołodyjowski, ruszając żółtemi wąsikami. — co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłem postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie po kawalersku?

Ba! ale zacóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rokbym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!“

— Taki pojadę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała odrazu nie oddam“.

Wtedy wszystko przepadnie.

Że przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słoma, ale i gasł jak słoma.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu, tułaczu, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się

po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić. Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi Kmicicowych, w niewolę wziętych, któren staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju, pane — odpowiedział kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

— Skąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakowąś w rozmyślaniach przerwę.

— Zdaleka, pane, z pod Wiahla.

— Czemużeś to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszów? O tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiezu, by mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.

— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.

— Takżeś tu sobie upodobał?

— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Naco mnie odchodzić?

— Któraż ci tak dogodziła?

— Marysia.

— I ty już ostaniesz?

— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.

— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

— Nie znaju, pane.

— Pierwejby takiemu hołyszowi śmierć dał, niż córkę.

— U mnie czerwieńce w lesie zakopane: dwie garści.

— Z rozboju?

— Z rozboju, pane.

— Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

— Ja z bojarów putnych.

— Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakże to mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

— Ja mu i nie służył.

— A skądże was pan Kmicic brał?

— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem poco wracać, bo spalony. Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż dotąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami, pożyczonemi u nieprzyjaciela.

— To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?

— Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale taki od nich zbiegli na gościńce.

— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrzał na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.

— Także ty ją miłujesz?

— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, o odchodząc pomyślał: — Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał, pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toć to tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwieńce wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawziął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo

podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek..

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać..

— Pojadę, nie może być inaczej!

To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

— Syruć, — rzekł pan Wołodyjowski, — a grzywa u Basiora zapleciona?

— Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodyjowski wszedł do stajni, Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

— Jechać... nie jechać... jechać...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.

Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział buty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconemi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego pół-pancerzyk z jasnej stali pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysi z pięknem piórem czaplem, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czółenkiem i wyszedł przed ganek.

— Gdzie to wasza Miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie.

— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubijaninaby mnie wziąć mogła.

— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

Wtem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny,

wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem w ręku. Ujrzawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.

— Król, nie król? — rzekła Zonia.

— Wasza miłość jak na wesele! — dodała Maryśka.

— Może z tego i wesele być, — zaśmiał się stary Pakosz, — bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony skopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła skopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladniczków i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego, tak iż gdy zdaleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem, czy arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.

— Co wasza miłość mówi? — spytał pachołek Syruć.

— Głupiś!

Pachołek ściągnął napowrót wtył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

— Całe szczęście, że to nie pierwszyzna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale się zręcznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie dworak, długo jednak na różnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze czcią wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

— Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosło, co powinienbym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

— Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcześ mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Michał.— Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, pozwalając mi tak godną personę sekundować.

— Nie! Jam to winna Bogu dziękować najprzód, a waszmości zaraz potem...

— Kiedy tak, to już dziękujmy oboje, bo ja o nic więcej Go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ile razy będzie potrzeba.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski ruszył woskowanemi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, bo kontent był z siebie, że odrazu wszedł in medias res i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na policzki, a oczy nakryła długiemi rzęsami, od których padały cienie na jagody.

— Dobry znak ta konfuzja — pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknąwszy, mówił dalej:

— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

— Wiem; — odpowiedziała Oleńka — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książę wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana z reputacji jako sławnego żołnierza.

— Także to o mnie mówił?

— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynosili nietylko pod niebiosa, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny niezupełnie obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włóczy, którzy się familjantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakoż Oleńka zaraz odrzekła:

— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Osorją pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli, który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczynił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służę, mniej dbając o substancję, niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego niecpłakanego księcia Jeremjasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem, i zbaraskie wytrzymałem głody, a po beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, żem nie łuszczybochenek żaden, który krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczem nie

zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

— Żeby to wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje, — mówił dalej pan Wołodyjowski, — choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy zacni ludzie go potępili i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpannę napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

— Skąd to waćpan wiesz? — spytała żywo panna, podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek, ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim djabelska.

— I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?

— Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na największego wroga takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatji i wdzięczności.

— Z waćpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz po raz ruszać wąsikami z ukontentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli.

Poczem głośno do panny:

— Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał o waćpannę, przy którejby sama Wenus za dziewkę służyć mogła. Despe-

racja to go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakże to przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz, na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają... Któż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochość, ale niesłusznie. I u mnie serce nie ze skały i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszyszże mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

— Waćpanna mnie nie chcesz? hę?

— Nie mogę!

— I to ostatnie słowo waćpanny?

— Ostatnie i nieodwołalne.

— A może jeno pośpiech waćpannie się nie podoba? Dajże mnie nadzieję!

— Nie mogę, nie mogę...

— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzie indziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęśliwa choćby z tym samym Kmicicem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny; poczem zaraz siadł na koń i odjechał.

— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.

Pachołek Syruć, jadący ztyłu, przysunął się zaraz.

— Co wasza mość mówi?

— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.

— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.

Nastało milczenie; poczem pan Michał znowu mruczeć począł:

— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano... Jechałże sęk taki los!... Co rusz, to rekuza... Niemasz sprawiedliwości na tym

świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

— Tem ci też gorzej dla mnie, — pomyślał po chwili, — bo jeśli ona go po tem wszystkiem jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputację poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomóc, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ją tak skaptował? kto zgadnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzał, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czem się to dzieje, albo jakowego inkluza dostać, możeby i człowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową nie dojdziesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenie na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak licho... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebodze może jeszcze ciężej...

Tu pan Wołodyjowski rozczulił się nad dolą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożątko ledwie zipie od trosków, jeszczem jej oczy wykłuł tym Kmicicem i doreszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom po grubijańsku postąpił. Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem w czem będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodyjowskiego przerwał pachołek Syruć, który przysunąwszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, toż to tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

— Gdzie?

— A ot, tam!

— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czemże ty go z tak daleka poznajesz?

— A po bułance. Dyć ją całe wojsko zna.

— Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

— Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili to samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski poskoczył tedy żywo i otworzywszy ręce, wołał:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Skądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem odsapnąwszy, rzekł:

— Do ciebiem umyślnie przyjechał z ekspedycją i z pieniędzmi.

— Z ekspedycją i z pieniędzmi? A od kogo?

— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciąg czynić i drugi dla Pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziem w jednej okolicy zaciągali?

— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.

— Skądżeś to wiedział, gdzie mnie szukać?

— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć i ja jechałem na pewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Tоś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt, jak maku w ogrodzie.

— Dlatego to i pobyt ci tam smakował!... Czekajże, mam i drugi list prywatny hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

„Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

Znając szczerą waćpana służenia ojczyźnie intencję, posyłam ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chcesz-li nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwo nam to, skąd waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że i pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskarbim, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydębić. Połowę z tych pieniędzy panu Kmicicowi j. m. p. oddaj, dla którego pan Charłamp także list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usłuży. Ale że uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem,

tedy najlepiej waćpan list dla ni go przeznaczony od Charłampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbytnie na nim gravamina, hańbę czyniące, tedy nie oddawaj: obawiamy się bowiem, aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcje niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak uznawszy, że tam nic wielkiego niema list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizycji i my go sądzić będziem, nikt inny, ale po funkcji spełnionej. Polecenie to nasze uważaj wmość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach wmości pokładamy.

Janusz Radziwiłł,
książę na Birżach i Dubinkach,
wojewoda wileński".

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

— Pewnie, że o konie będzie trudno — odpowiedział pan Wołodyjowski. — Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jeno mierzyny żmudzkie mają, niebardzo do służby zdatne. Na dobrą sprawę trzebaby im wszystkim dać inne.

— To dobre konie, znam ja je zdawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodyjowski, ale urody małej, a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi. Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?

— Bo tu tatarską modą sobie poczynał i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów

na głowie. Niemasz tygodnia jak się z nim w szable biłem.

— E! — rzekł Charłamp — jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrów będzie. Co tam słychać de publicis?

— Źle, po staremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księciem w emulacji, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trocheśmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się zdawna z panem podskarbim powąchali.

— Wojewoda witebski zacny obywatel.

— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwiłłom stoisz?

— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to nanic! — rzekł Charłamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kłuje. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzie indziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainę.

— Bo ja wiem! Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo z sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł ułowić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna“. Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

— Pewnie się przesłyszał! Z kimżeby nowa wojna? Cesarz lepiej nam teraz życzy, niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czegoby bez woli Turczyna nie czynili.

— Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było. Ale ja chwalę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieźć.

— Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyślę się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza; potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?

— Tak jest.

— To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktoryj nieprzyjaciel nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurladzką granicę daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawią na nogi, więc będzie komu bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno, — odpowiedział Charłamp, — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcję, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosiło. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już

jak tam tylko książę Bogusław do roboty wchodzi, to djabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To mężny pan!

— Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca, czyli jakowegoś Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. On to i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim, jego to sadzenia drzewa i frukta.

— Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinieneś się, Michałku, co prędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrzał przeciągle na towarzysza.

— Ożenić?... Hę?

— Juści! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.

— Dałbyś spokój!

— Ej, przyznaj się...

— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

— A będziesz na lipiec gotowy?

— Na koniec lipca będę, choćbym miał konie z pod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolja zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzji, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych

domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było, że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako i afekt nie ostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.

ROZDZIAŁ IX.

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencję do Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrów będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabli wiszącej nad łożem sięgnął, ale ochłonąwszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszmości za odwiedziny. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.

— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie, żem się wylizał.

— A jakże zdrowie waszmościne?

— Waćpanu dziw pewno, żem z pod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:

— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!

— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem...

— Chybaś waszmość djabeł — przerwał Kmicic — albo masz inkluza. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżelim nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cięcia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzieś się tak wyuczył?

— Miało się trochę przyrodzonych zdolności — odrzekł pan Michał — i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg nikczemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli“. Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

— Aza mogli być tacy.

— Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta, Litwin, wielki familjant, który w Zbarażu poległ, — Panie świeć nad jego duszą! — człek tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzetuski, przyjaciel mój serdeczny i konfident, o którym waść musiałeś słyszeć.

— Jakże! On to ze Zbaraża wyszedł i przez kozaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To waść z takiej sfory? i zbarażczyk?... Czołem! Czołem! Czekajże!... przecie i ja o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty

Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi, i tyle już nad piekielnemi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michałem. Toś to waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usiekł?

— Jam jest.

— No, od takiego nie żal po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciołmi mogli zostać. Waćpan to mnie wprawdzie zdrajcą okrzyknąłeś, aleś się w tem pomylił.

To rzekłszy, pan Kmicic ściągnął brwi, jakby go rana na nowo zabolała.

— Przyznaję, żem się pomylił, — odrzekł pan Wołodyjowski, — ale nie od waćpana o tem dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! — mówił z goryczą Kmicic. — Niech będzie co chce. Niejedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszkodziłeś tem spaleniem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sądzi, jeślim to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spaleniem ślub sobie zrobiłem, żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do dom i cóż zastaję? Oto moich kompanjonów porzniętych jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy djabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porznięto?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego

w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczmie z szlachciankami chcieli ... Ktoby się nie mścił?

— Mój mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — prawda, że za ostro postąpiono z waćpana kompanami, ale czy to ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacja, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnieby ich za to nie sieczono.

— Nieborzęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili temi oto drzwiami, z tamtej oto izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędruś! daj na mszę za nasze dusze bo męki cierpimy!“ To, mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już dałem, oby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu, — mówił dalej Kmicic, — waćpanu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocaliła mi wprawdzie życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

— Zawsze to tatarski był sposób.

— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacji człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

— Ja nie wiem co jest afekt? — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subiectum zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wypłacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nade mnie Troila.

— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia — rzekł Kmicic.

— Tedy waści powiem co innego, na co własnemi oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu chmielnicczyzny, Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą

cieszy się między kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperację, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on zgadnij waść co uczynił?

— Skąd mam wiedzieć!

— Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki triumfował, więc on wcale nie poszedł dziewki szukać. Boleść Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóżże waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicic milczał i gryzł wąsy, Wołodyjowski mówił dalej:

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś tem samem nieprzyjacielowi i małoś żywota nie utracił, nie mówiąc o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem? — rzekł, siadając na łóżku Kmicic — co się z nią działo?

— Nic się nie działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicic pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i krzyknął:

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicic. — Jakto?...

— Tak jest.

— Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?...

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastała chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:

— Czemu to mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat, albo swat? Zalim ci wiarę złamał? Zwyciężyłem cię w boju i mogłem czynić, co mi się podobało.

— Po staremu jedenby z nas to krwią zapieczętował. Nie szablą, to z rusznicybym waćpana ustrzelił i niechby mnie djabli potem wzięli.

— Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby mnie nie była odpaliła, tobym i pojedynku drugiego nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz czemu mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmicic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły. Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystąpił mu pot obfity i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi słabo — rzekł po chwili. — Skądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miarkuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi się w głowie rozjaśniło. Najprzód tedy, gdym po pojedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom waćpana usiekł, wnet ją zamroczyło i zamiast wdzięczność mi okazać, całkiem mnie spostponowała; po wtóre: gdy cię tu Domaszewicze dźwigali, to ci głowę, jak matka unosiła, a po trzecie, gdym się jej oświadczył. tak mnie przyjęła jakoby mi kto w pysk dał. Jeśli te racje waćpanu nie wystarczają to chyba dlatego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwankujesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym głosem Kmicic — tedy mi tu różne maści na rany przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od słów waszmości.

— Zdrajcaże ci to taki balsam przykłada?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

— Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To wcale co innego.

— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Inaczej być nie może.

— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencję zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wsławić, reputację połatać. Któżto jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

— Waćpan mówisz, jak mój szczery przyjaciel.

— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnem. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyzna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

— Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym stąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.

— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?

— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycji należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

— Owóż, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy, albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.

— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę spuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznani w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

— Niechże mnie końmi rozerwą! — rzekł wreszcie — niech mnie ze skóry obłuszczą, jeślim ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśliś przeze mnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miłuje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pogrążył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty, ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

— Przykład, przykład z waćpana innym brać! — odrzekł Kmicic. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żadnych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputację odzyskać i w sławie, jak w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmicic — co ja tu

będę w łożu gnił, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? sam tu! pachołek, buty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy począł żegnać się, a Kmicic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowo nagrodzę, — mówił sam do siebie, — gdy jej powiem, że Kmicic nietylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę, i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:

— Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmvślań dojechał do Wodoktów. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie śpieszył się otwierać, jeno rzekł:

— Dziedziczki niemasz w domu.

— To wyjechała?

— A wyjechała.

— Gdzie?

— Kto ją wie!

— A kiedy wróci?

— Kto ją wie!

— Gadajże po ludzku. Nie mówiła kiedy wróci?

— Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i z tobołami. Z tego miarkujem, że daleko i na długo.

— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...

ROZDZIAŁ X.

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po Dzikie Pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły zagasić pożaru, owszem wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przelatujących niebiosa, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawalały się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznanej choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwyczajne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadano nowe wojny i nagle, Bóg wie skąd, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Napozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecją zawarty, miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierwiej mogła się zwalić. Leszczyński, wojewoda łęczycki i Naruszewicz, pisarz polny

litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecji; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

— „Legacja ta wojną pachnie“ — pisał Janusz Radziwiłł.

— Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony, pocóżby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazyl; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

— Żadnej — twierdzili — Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżeby to podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napadnięto po zbójecku bezpiecznego sąsiada? Szwecja przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzcianą! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeciwnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita; ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć, Nie będzie wojny!

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czegoby nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było bliskie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, jenerała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony

granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: — Wojna! — rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Była to nietylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki wspomagany przez Buturlina, srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz oblężony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Radziejowski uciekł z niego i był w namiocie napastników. On to prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów, pragnących triumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach, zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd niepoterana kraina wielkopolska nie żałowała przyjnajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano i zanim szlachta ruszyła własnemi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty, pod wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, wałeckich. Nad kaliskimi chłopy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbarażczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Z pod Pyzdrów ciągnął pan

Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; z pod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Koślecki z pod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu, którego głosu nawet sam jenerał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wieluniem zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski i stanął w domu burmistrza z licznym pocztem sług, przybranych w białe i błękitne barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szańczyków nad rzeką.

— A gdzie to moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

— Jacy ludzie? — rzekł pan Skrzetuski.

— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czarniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za źle umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakżeto? — odparł zafrasowany wojewoda — niemasz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi waćpan prawisz?

— A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostanę.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć, — rzekł, — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą, nie będzie go, bo nietylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.

— Powarjowali! — rzekł pan Grudziński.

— Nie, jeno oni tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.

— Czekaj waść! — rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, piór i papieru — następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny, zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej *pro die 27 praesentis* stawili i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą *non deesse patriae*. A teraz powiedz mi waćpan: macie-li jakie wieści o nieprzyjacielu?

— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na łęgach musztruje.

— Siła ich?

— Jedni mówią, że siedemnaście tysięcy, drudzy, że więcej.

— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?

— Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić...

— Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą damy sobie radę?

— Nie damy — rzekł sucho Skrzetuski. — Jaśnie wiel-

możny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

— Jakto nie mamy żołnierzy?

— Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

— Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

— Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę widział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskom, jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwycięstw przywykłym.

— Także to waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

— Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbarażem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał; ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrzał bystro wprost w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

— Tedy poco my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i rzekł:

— Jeśli mi taka w głowie myśl powstała, każże mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktorję, odpowiadam jak żołnierz: nie wierzę! — ale pocośmy tu przyszli, to inna materja, na którą jako obywatel odpowiadam: poto, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzyć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszemi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniem!

— Chwalebna to intencja waszmości, — odpowiedział

chłodno wojewoda, — ale łatwiej wam żołnierzom o śmierci mówić, niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Poto i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy polec, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak, jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania popróbować, bo czasem więcej słowem można wskórać, niżli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza.

Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod d. 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i kolesno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygód wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i kozacy nie deptali nigdy tych

okolic, które od czasów krzyżackich zapomniały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów zmienili, kochających się w dostatkach, w wczasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną i zwłaszcza swojem zbożem, rynki miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można się zanadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrzyć, ani za wielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwni to byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał naprzykład towarzysz z kopją na dziewiętnaście stóp długą i w pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu „dla chłodu" na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie poczytywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urażała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły", ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów, koni zapaśnych i pociągowych, bydła przeznaczonego na śpiżę, a zwłaszcza sług pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemu to wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arwid Wittemberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedemnaście tysięcy weteranów w żelazną dycyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbie-

gowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków, napoczekaniu w piechotę zamienionych i z jegomościów prosto od strzyży owiec oderwanych; z drugiej maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciągające się z regularnością machin w linje i półkola; zwierające się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, prawdziwi ludzie wojny, zimni spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyją stronę musi paść zwycięstwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej, a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdżać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincyj, z pocztami przybocznych wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte z czerwonem barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlachty, otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów w takież barwy jak i hajducki przybranych; sam wojewoda jechał w karecie, mając przy sobie błazna, Stacha Ostrożkę, którego obowiązkiem było posępnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza, dodał wszystkich serca i otuchy; tym bowiem, którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspaniałą, w której, z pod wysokiego jak sklepienie czoła, świeciły oczy rozumne i surowe na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom, przywykłym do czci dla urzędu i osoby, wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli wznieść świętokradzkiej ręki na takiego magnata. Owszem, ci, którym trwożliwe serce biło w piersiach, uczuli się zaraz bezpiecz-

niejsi pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przyjeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem Jakóbem Rozdrażewskim wojewodą inowrocławskim. Ci przywieźli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał; jako pan Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski; Maksymiljan Miaskowski, kasztelan krzywiński i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptastwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, błękitne, białe, na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszkach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którem co szlachcic, to inny strój nosił — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle miasteczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe, od szat do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni — w innych sprzedawano trunki. Przed szopami roiła się szlachta, zbrojna nietylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany w odzież zeszytą z pstrych gałganków z berłem zdobnem dzwonkami i miną z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad któremi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szczędzono w nich nikogo.

Pewnego południa nadszedł przed bazary sam wojewoda poznański i wmieszał się między szlachtę, rozmawiając łaskawie, z tym, z owym lub ze wszystkimi i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

— Nie myślą o nas, mości panowie — mówił — i bez pomocy nas zostawiają. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojska za mało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Milsza widać Ukraina, niż Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali...

— A kto winien? — pytał pan Szlichtyng, sędzia wschowski.

— Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej winien? — odparł wojewoda — jużci nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszemi zasłaniamy.

Słuchającej szlachcie pochlebiło to wielce, że „hrabia na Bninie i Opalenicy“ sam się narówni z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

— Jaśnie wielmożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyljarzów było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnieby tu nas na rzeź nie wydano... Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

— Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, co złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tem *absolutum dominium* będzie do przeprowadzenia łatwiejsze.

— Zali poto mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta poczęła spoglądać po sobie i zdumiewać się.

— Więc to tak? — wołały liczne głosy. — Więc poto nas tu pod nóż wysłano? A wierzym! Nie od dziś to o absolutum dominium mówią!... Ale skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

— I o naszych dzieciach!

— I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel igne et ferro będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

— Król to wszystkiemu winien! — wołano coraz liczniej.

— A pamiętacie waćpanowie dzieje Jana Olbrachta? — spytał wojewoda.

— Za króla Olbrachta wyginęła szlachta! Zdrada, panowie bracia!

— Król, król zdrajca! — zakrzyknął jakiś głos śmiały.

Wojewoda milczał.

Wtem Ostrożka, stojący przy boku wojewody, uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapiał jak kogut, tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Następnie zakrzyknął:

— Mości panowie! bracia, serdeńka! posłuchajcie mojej zagadki!

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody oburzenie pospolitaków zmieniło się w jednej chwili w ciekawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu błazna.

— Słuchamy! słuchamy! — ozwało się kilkanaście głosów.

Błazen począł mrugać oczyma jak małpa i recytować piskliwym głosem:

Po bracie się pocieszył koroną i żoną,
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;
Podkanclerza wypędził — i z tego dziś słynie,
że sam jest podkanclerzym... przy podkanclerzynie.

— Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! — poczęto wołać ze wszystkich stron.

I śmiech ogromny, jakby grzmot, rozległ się w zgromadzeniu.

— Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! — wołała szlachta.

Wojewoda śmiał się z innymi; następnie, gdy uciszyło się nieco, rzekł poważniej:

— I za tę to sprawę my musimy teraz krwią i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!... Ale masz, błaźnie, dukata za dobrą zagadkę.

— Krzysztofku! Krzychu najmilszy! — odrzekł Ostrożka — czemu to na innych napadasz, że trefnisiów trzymają, kiedy sam nietylko mnie trzymasz, ale osobno za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata, to ci powiem drugą zagadkę.

— Taką samą dobrą?

— Jeno dłuższą... Daj najprzód dukata.

— Masz!

Błazen znów wstrząsnął rękoma, jak kogut skrzydłami, znów zapiał i zakrzyknął:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto to taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,
Od szabli wolał pióro z gęsiego ogona:
Po zdrajcy chciał spuścizny, a gdy jej nie dostał,
Wnet totam Rempublicam ostrym rytmem schłostał.
Bodajby szablę kochał, mniej byłoby biedy,
Bo się satyr na pewno nie ulękną Szwedy.
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,
Już za zdrajcy przykładem, króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę, jak i poprzednią. Dwa czy trzy zduszone w tejże chwili śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, poczem zapadła cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tem bardziej się zmieszał,

że wszystkie oczy były w niego utkwione, a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na drugiego, wreszcie ozwał się:

— Nikt z waszmościów nie odgaduje kto to taki?

A gdy milczenie było jedyną odpowiedzią, wówczas Ostrożka zwrócił się z najbezczelniejszą miną do wojewody:

— A ty Krzychu, zali także nie wiesz o jakim to hultaju była mowa?... Nie wiesz? to płać dukata!

— Masz! — odrzekł wojewoda.

— Bóg ci zapłać!... Powiedz-no mi Krzychu: nie starałżeś się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim?

— Nie pora na krotofile! — odparł Krysztof Opaliński.

I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym:

— Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.

— Na radę familijną, chciałeś Krzychu powiedzieć, — dodał Ostrożka, — bo tam wszyscy krewni radzić będziecie, jakby dać drapaka.

Poczem zwrócił się do szlachty i naśladując wojewodę w ukłonie, dodał:

— A waćpanom w to graj!

I oddalili się obaj; ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.

Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej prezydował. Była to szczególna rada! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych „królewiąt“ litewskich lub ukrainnych, żyjących w ustawicznym ogniu, jak salamandry.

Tam, co wojewoda lub kanclerz, to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nie schodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegła na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitw, w obozach lub taborach, Tu byli dygnitarze, pilnujący urzędów,

a choć w chwilach potrzeby chodzili i oni na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głęboki spokój uśpił wojowniczego ducha potomków tych rycerzy, którym niegdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola; zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na naradę dygnitarze spoglądali na się niepewnemi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie „Agamemnon", wojewoda poznański.

„Agamemnon" zaś sam nie znał się poprostu na niczem i mowę swoją rozpoczął znów od narzekań na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakiem całą Wielkopolskę i ich pod miecz wydano. Ale zato jakże był wymowny; jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesioną, czarne jego oczy ciskały błyskawice, usta pioruny, a siwiejąca broda trzęsła się z uniesienia, gdy przyszłe klęski ojczyzny malował.

— W czemże bowiem ojczyzna cierpi? — mówił — jeżeli nie w synach swoich... a my tutaj najpierwiej ucierpimy. Po naszych to ziemiach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków zdobytych, przejdzie najprzód noga tych nieprzyjaciół, którzy jako burza zbliżają się ku nam od morza. I zaco my cierpimy? Zaco zajmą nasze trzody, wydepcą zboża, popalą wsie, pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który niesłusznie osądzony i jak zbrodniarz ścigany, obcej protekcji szukać musiał? Nie!... Czy my nastajemy, aby ten próżny tytuł króla szwedzkiego, który już tyle krwi kosztował, był w podpisie naszego Jana Kazimierza zachowany? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach — trzebaż było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Bóg, niech go ojczyzna sądzi!... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materji, nie umiał rady pożądanej udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów, łanową piechotą dowodzących, a szczególnie po pana Władysława Skoraszewskiego, który był nietylko rycerz sławny i niezrównany, ale stary praktyk wojenny znający wojnę jak pacierz. Rad jego istotni nawet wodzowie nieraz słuchali; tem więc skwapliwiej pożądano ich teraz.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obozy: pod Piłą, Wieluniem i Ujściem, tak blisko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić w pomoc; a prócz tego całą nadrzeczną przestrzeń łukiem obozów objętą, obsypać szańcami, któreby nad przeprawami panowały.

— Gdy się już okaże, — mówił pan Skoraszewski, — w którem miejscu nieprzyjaciel będzie przeprawy tentował, tedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy dać mu wstręt należyty. Ja zaś, za zezwoleniem j. w. m. panów, pójdę z małym pocztem do Czaplinka. Stracona to pozycja i wczas się z niej cofnę, ale tam najpierwiej dowiem się o nieprzyjacielu i j. w. m. panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na ową radę i poczęto nieco żwawiej krzątać się w obozie. Szlachty zjechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Łanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycję, zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieluniu, część w Pile a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplinka, by stamtąd dawać baczenie na nieprzyjaciela.

Rozpoczął się lipiec; dni były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiekało na równinach tak mocno, iż szlachta chroniła się po lasach, pomiędzy drzewami, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty. Tam też wyprawiano uczty gwarne i hałaśliwe, a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy naraz pędzono trzy razy

dziennie do Noteci i Brdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo, iż sam wojewoda poznański działał raczej w ten sposób, aby go osłabić, był z początku dobry.

Gdyby Wittemberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi do boju, mógłby się zmienić w niezwalczoną wściekłość, jak tego często bywały przykłady. Bo przecież w żyłach tych ludzi, jakkolwiek odwykłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmieniłby był Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej karjery rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittemberg, człowiek nietylko wojnę znający, ale i ludzi, może umyślnie się nie śpieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, że nowozaciężny żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału i że częstokroć nie męstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć, jak nawałnica, na najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które, póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy już wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż, gdy ubiegł tydzień i drugi, a zaczynał się trzeci, długa bezczynność poczęła ciężyć pospolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na musztry, tłumacząc się tem, że „konie, cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu, a jako że w błotnistej okolicy, od komarów wytrzymać nie można...“

Czeladź wszczynała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem do wody, wyjeżdżał chyłkiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skoraszewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy

na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starościca średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

— Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać, — mówił, — niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odziedziczy, aby zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztkliwiać się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca, oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo porządnej dla Rzeczypospolitej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Zrana dnia 16 lipca wyjeżdżał pan staroście w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilję niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowadzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłumom tym przywodził Ostrożka, który krzyczał zdaleka za odjeżdżającym:

— Mości panie staroście, daję ci do herbu i nazwiska przydomek: Deest!

— Vivat Deest-Grudziński! — krzyknęła szlachta.

— A nie płacz za stryjem! — wołał dalej Ostrożka, — równy on ma z tobą kontempt dla Szwedów i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci!

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódł ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy wkońcu bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyczeć:

— Masz grudkę, Grudziński! A ho! a huzia! hoc! hoc! szarak! kot!

Uczynił się taki tumult, że aż wojewoda poznański nadbiegł z kilkunastu rotmistrzami uspokajać i tłumaczyć, że staroście tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw wziął permisję.

Jednakże zły przykład podziałał — i tego samego dnia znalazło się kilkuset szlachty, którzy nie chcieli być gorszymi od pana starościca, lubo wymykali się z mniejszą asystencją i ciszej. Pan Stanisław Skrzetuski, rotmistrz ka-

liski, a stryjeczny słynnego zbarażczyka Jana, włosy rwał na głowie, bo i jego łanowcy, idąc za przykładem „towarzystwa“, poczęli „wyciekać“ z obozu. Złożono znów radę wojenną, w której tłumy szlacheckie koniecznie chciały wziąć udział. Nastała noc burzliwa, pełna krzyków, swarów. Podejrzywano się wzajemnie o zamiar ucieczki. Okrzyki: — Albo wszyscy, albo nikt! — przelatywały z ust do ust.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą — i panował taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy ludzi stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego i powtarzął co chwila wielkie słowa:

— Mości panowie! z wami żyć i umierać!

Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś ledwie uciszył tłumy, wracał na radę, spracowany, zachrypły, upojony wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę i za chochoł targał z rozpaczy, powtarzając:

— Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umywam ręce od tego, co się stanie, bo z takim żołnierzem niepodobna się bronić.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — odpowiadał pan Stanisław Skrzetuski. — Sam nieprzyjaciel powściągnie tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi z wałów służyć, nie w obozie się warcholić. Tak już nieraz bywało!

— Z czem się bronić? Armat nie mamy, jeno nasze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

— Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedemdziesiąt dział, a książę Jeremi jeno kilkanaście oktaw i granatników.

— Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec.

— Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego — rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. — Uczynić go oboźnym. On ma mir u szlachty i w ryzie utrzymać ją potrafi.

— Posłać po Skoraszewskiego! Poco on ma w Drahiniu czy w Czaplinku siedzieć! — powtórzył pan Jędrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

— Tak jest! to najlepsza rada — zawołały inne głosy.

I wysłano gońca po pana Władysława Skoraszewskiego — innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wiele na króla, królową, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspokojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. Ktoś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwini, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, wieści tej nie zaprzeczył ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurnatowscy, Edmund i Jacek, również kalwini, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owszem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koło i zmawiają się ze sobą, pod wodzą znanego warchoła i okrutnika pana Reja, który zamłodu służąc w Niemczech, jako ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedów przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpoczęła się w obozie.

— Zdrajców karmimy! żmije karmimy, gotowe kąsać łono rodzicielki! — wołała szlachta.

— Dawajcie ich sam!

— W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!... Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy.

Wojewodowie i rotmistrze znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej, niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był człowiek zupełnie scudzo-

ziemszczony i prócz mowy, nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co zaraz uspokoiło nieco wzburzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

— Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowało wkońcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pogrążyli się w smutku. Ci chodzili w milczeniu błędnemi krokami wzdłuż wałów, puszczając trwożliwy i posępny wzrok na równiny, któremi miał nadciągnąć nieprzyjaciel lub udzielali szepcąc, coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakaś wesołość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości wyprawiano uczty i pijatyki, by wesoło ostatnich dni życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i noc spędzali na modlitwach. Nikt tylko w całym tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnem, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższających: miał więcej dział i wojska lepiej ćwiczone i wodza, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, huczał, ucztował, wzburzał się, uciszał, jak morze wichrem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało, niby w czasie elekcji króla — z drugiej strony, po roztoczystych, zielonych łęgach nadodrzańskich posuwały się spokojne zastępy szwedzkie.

Szła więc naprzód brygada gwardji królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rosły, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącemi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju i na każde skinienie wodza gotowy.

Karol Szedding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtarji, przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali na czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwiwszy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadstawiali przeciwko pę-

dzącym koniom. Pod Trzcianą, za czasów Zygmunta III, jedna chorągiew husarji rozniosła na szablach i kopytach tęż samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeważnie Niemcy.

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin, zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił, zato w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie" wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał tym samym fanatykiem i mordował ludzi, śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westrmalandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem, wielkie rokującym nadzieje. Nad estgotlandzką pułkownikował Fersen, a nerikską i wermlandzką sprawował sam Wittemberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armji.

Siedemdziesiąt dwa działa wytłaczało brózdy po wilgotnych łęgach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że zwłaszcza z piechotą, zaledwie królewskie francuskie gwardje mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczni sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem płynęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitne z białemi krzyżami w pośrodku.

Z każdym dniem zmniejszała się odległość, dzieląca dwa wojska.

Nakoniec, w dniu 27 lipca, w lesie pod wsią Heinrichsdorfem, ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy słup graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczyniło okrzyk ogromny, zagrzmiały trąby, kotły i bębny i rozwinęły się

wszystkie chorągwie. Wittemberg wyjechał naprzód w asystencji świetnego sztabu, a wszystkie pułki przechodziły przed nim, prezentując broń, jazda z dobytemi rapierami, działa z zapalonemi lontami. Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powietrze leśne pachniało żywicą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z heinrichsdorfskiego lasu, gubiła się na widnokręgu. Gdy idące nią wojska przeszły wreszcie las, wzrok ich odkrył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółtawemi łanami zbóż wszelakich, miejscami usianą dąbrowami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owdzie z kęp drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnosiły się dymy ku niebu; na potrawach widniały pasące się trzody. Tam, gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana szeroko, chodziły spokojnie bociany.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej ziemi, mlekiem i miodem płynącej. I zdawała się roztaczać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami, jakby nie najezdników witała, ale gości z Bogiem przybywających.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi żołdaków, mianowicie rodowitych Szwedów, przywykłych do nagiej, biednej, dzikiej przyrody w kraju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wezbrały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i dostatków, które wpadały im pod oczy. Zapał ogarnął szeregi.

Ale spodziewali się żołdacy, zahartowani w ogniu trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo, boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny, a rycerski, który umiał jej bronić. Żyła jeszcze w Szwecji pamięć strasznego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chatach Westgotlandu, Smalandu lub Dalekarlji opowiadano o tych rycerzach skrzydlatych, jak o wielkoludach z sagi. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich udział. Wszakże ów orzeł skandynawski,

zanim przeleciał całe Niemcy, po dwakroć połamał szpony o zastępy Koniecpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich i pewna obawa, której nie był próżen sam wódz naczelny, Wittemberg. Patrzył on na przechodzące pułki piechoty i rajtarji takiem okiem, jakiem pasterz patrzy na swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę, spadającą na ramiona:

— Wasza miłość upewniasz mnie, — rzekł, — że z temi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i odrzekł:

— Wasza miłość może zupełnie polegać na mych słowach, za które głową ręczyć gotówem. Gdyby pod Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska mość z całą armią nadciągnie, ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż zanadto wystarczą.

— A nie przyszląże im jakowych posiłków?

— Posiłków nie przyszlą z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że wojska wszystkie, których wogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; po wtóre, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani kanclerze, ani senat, do tej pory nie chcą wierzyć, aby jego królewska mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, mimo gotowości do ustępstw, naprawdę rozpoczął wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatniej chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz i dodał:

— Trubecki i Dołgoruki na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto, do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittemberg spojrzał na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:

— A wasza miłość radujesz się tą myślą?

— A ja raduję się tą myślą, bo moja krzywda i moja niewinność będą pomszczone; a prócz tego widzę już jak na dłoni, że szabla waszej miłości i moje rady włożą tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę, na głowę Karola Gustawa.

Wittemberg zapuścił wzrok wdal, objął nim lasy, dąbrowy, łęgi i łany zbożne i po chwili rzekł:

— Tak jest! piękny to kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewska mość nikomu innemu wielkorządztwa tu nie powierzy.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.

— I ja też nie chcę innego mieć pana — dodał, wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwoma wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem rozmawiający z Wittembergiem był to Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedom przeciwko ojczyźnie zaprzedany.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, nerikska i wermlandzka, przeszły granicę, za niemi poczęły się wtaczać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warczenie bębnów głuszyło kroki żołnierzy i napełniało las złowrogiemi echami. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittemberga.

— Oxenstierny nie widać: — rzekł Wittemberg — boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeśli to dobra była rada posyłać go jako trębacza z listami pod Ujście.

— Dobra, — odparł Radziejowski, — bo obóz zlustruje, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myślą, a tegoby lada ciura nie uczynił.

— A jeśli go poznają?

— Jeden Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nie uczynią mu nic złego, jeszcze na drogę

opatrzą i nagrodzą... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, byle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili... O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

— A jak wasza miłość sądzisz, sprawią nasze listy jaki skutek?

— Radziejowski roześmiał się.

— Jeżeli pozwolisz mi wasza miłość być prorokiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański, polityczny to człek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpisze; ale, że lubi za Rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymska; powie najprzód, że woli ostatnią kroplę krwi wylać, niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy, a miłość, jaką żywi dla ojczyzny, nakazuje mu paść za nią na granicy.

Radziejowski począł się śmiać jeszcze głośniej, surowa twarz Wittemberga rozjaśniła się także.

— Wasza miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? — spytał.

— On? — odrzekł Radziejowski. — Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego błazna, który mu pomaga rytmy układać. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odpowiedzi nastąpią zyczenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a nakoniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność, wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.

— A jakiż będzie w ostatku skutek naszych listów?

— Że zwątlą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczną z nami układy i że Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.

— Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...

— Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju i wiem,

jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszkam, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała i miłość dla Karola Gustawa. Czulsi u nas teraz ludzie na własne fortuny, niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będziem, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i miększi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pójdzie i ona śladem panów wojewodów.

— Wasza miłość niepożyte swą znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej mości usługi, które nie mogą być bez równie znakomitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuję, że mogę tę ziemię jako naszą uważać.

— Możesz wasza miłość! możesz! możesz! — powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

— A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa — odparł poważnie Wittemberg.

Gdy tak wojska szwedzkie poczęły deptać za Heinrichsdorfem ziemię wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18 lipca, przybył do obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittemberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził go do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na „pierwszego Szweda“, podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską, żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczotkę i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadziły go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami, śmiano się trochę z butów zakończonych ogromną kolistą cholewą i z długiego, prostego rapiera, który rożnem przezywano, wiszącego na pendencie, suto srebrem haftowanym; Szwed zaś rzucał także ciekawie oczyma z pod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz zlustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Nakoniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze, znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacza zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczęstowano go po żołniersku; od dworzan odebrała go szlachta i podziwiając go ciągle, jako osobliwość, poczęła z nim pić naumór.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu, iż podejrzywał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednak odrzekł, iż to jest wszystko jedno i aresztować go nie pozwolił.

— Choćby to był i sam Wittemberg, — rzekł, — jako poseł tu przybył i odjechać spokojnie powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził łamaną niemczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskiemi rozumieli i opowiadał im o zwycięstwach, przez Wittemberga w różnych krajach odniesionych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nieznanej dotąd doniosłości, którym niemasz sposobu opierać się. Strapiła się też tem szlachta niemało i różne przesadne wieści poczęły wnet krążyć po obozie.

Tej nocy prawie nikt nie spał w całem Ujściu, bo najprzód koło północy nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieluniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewną gorączkową ciekawością wypytywano trębacza o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom, które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią,

że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie nagwałt. Powiaty siadały na koń i stawały chorągwiami. Chwila przed bitwą bywa dla niewyćwiczonego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdołali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie było słychać ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: — Janie! Piotrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabito! dawaj konie!... Gdzie moja służba?... Janie! Piotrze! — Gdyby w tej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo w popłoch zamienićby się mogło.

Zwolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny, zastąpiło poniekąd brak doświadczenia i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała na wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosiły się z zapalonych lontów, a nazewnątrz wałów, pod zasłoną dział, łęgi i równina zaroiły się powiatowemi chorągwiami jazdy, w szyku stojącej na dzielnych koniach, których rżenie budziło echo w pobliskich lasach i napełniało serca zapałem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trębacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiedział Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską; poczem postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwycenia nieprzyjacielskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć własną osobą z podjazdem, wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty, do pospolitego ruszenia na-

leżącej, aby i ona zajrzała już przecie w oczy nieprzyjacielowi.

Jeździli tedy obaj przed szeregiem, czyniąc rozkosz oczom moderunkiem swym i postawą; pan Stanisław czarny jak żuk, na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, groźną i ozdobioną długą ukośną blizną, od cięcia miecza pozostałą, z kruczą rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław tłustawy, z długiemi jasnemi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i poczciwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczera dusza żołnierska, jak salamandra w ogniu się kochająca, rycerz znający wojnę, jako swoje dziesięć palców i odwagi nieporównanej. Obaj, przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linję, powtarzali co chwila:

— A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać! Nuże, mości panowie, na ochotnika!

I tak przejechali już spory kawał — bez skutku, bo z szeregów nie wysuwał się nikt. Jeden oglądał się na drugiego. Byli tacy, którzy mieli ochotę, i nie strach przed Szwedami, ale nieśmiałość ich wstrzymywała. Niejeden trącał sąsiada łokciem i mówił: — Pójdziesz ty, to i ja pójdę.

Rotmistrze poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek pstro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale z za szeregu i krzyknął:

— Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błaznami!

— Ostrożka! Ostrożka! — zawołała szlachta.

— Taki dobry szlachcic, jak i każdy! — odpowiedział błazen.

— Tfu! do stu djabłów! — zawołał pan Rosiński, podsędek — dość błazeństw! idę ja!

— I ja! i ja! — zawołały liczne głosy.

— Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!

— Znajdą się tacy dobrzy, jak i ty!

— Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz poczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów — prześcigać końmi, zawadzać jedni o drugich i kłócić naprędce. Stanęło w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski począł się śmiać swoim szczerym, poczciwym śmiechem i wołać:

— Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy.

Poczem obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączył się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć — poczem zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z obozu.

Po upływie pół godziny, pan wojewoda poznański kazał rozjeżdżać się ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel jeszcze o dzień drogi odległy. Porozstawiano jednak liczne straże; nie pozwolono wyganiać koni na paszę i wydano rozkaz, że za pierwszem cichem zatrąbieniem przez munsztuk, wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak powiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go nawet podnieść bardzo wysoko i wieczorem zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło, oświecając ogromnym rażącym oczy blaskiem Noteć i zanoteckie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzano najprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały patrzeć, co to za goście; wtem od straży nadbiegł

dragon z chorągwi pana Grudzińskiego, dając znać, że podjazd wraca.

— Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!... Nie zjedli ich Szwedzi! — powtarzano z ust do ust w obozie.

Oni tymczasem, w jasnych kłębach kurzu, zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przeprawiali się przez Noteć.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotem i purpurowem światłem.

— Hej, coś ich kupa większa, niż wyjechała! — rzekł pan Szlichtyng.

— Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! — zakrzyknął jakiś szlachcic, widocznie tchórzem podszyty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

— Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski, kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzetuskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów, przybranych w koliste kapelusze. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

— Vivat Skoraszewski! Vivat Skrzetuski!

Gęste tłumy otoczyły wnet cały oddział. Jedni patrzyli na jeńców, drudzy wypytywali się: — Jak to było — inni wygrażali Szwedom.

—A hu! A co! Dobrze wam psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!

— Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bigosować!...

— Ha, szołdry! ha, pludraki! popróbowaliście polskich szabel?!

— Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą, że wam wojna pierwszyzna! — rzekł pan Skora-

szewski. — Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami.

— Jakżeto? Łatwo wam się dali? Czy musieliście się zapocić? Dobrze się biją?

— Dobrzy pachołkowie, — odparł pan Rosiński, — bronili się znacznie, ale przecie nie z żelaza. Szabla się ich ima.

— Taki nie mogli wam się oprzeć, co?

— Impetu nie mogli wytrzymać.

— Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?... Impet, to grunt!...

— Pamiętajcie, byle z impetem!... Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechybnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać — natomiast, dobrze już w noc, rozległ się głos trąbki przed forpocztami. Przybywał drugi trębacz z listem od Wittemberga, wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy, dowiedziawszy się o tem, chciały posłańca rozsiekać, ale wojewodowie wzięli list do deliberacji, choć treść jego była bezczelna.

Jenerał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw posyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi, jako posiłki przeciw kozakom, że zatem Wielkopolanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński, czytając to pismo, nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

— Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni możem się bronić?... Chcesz-li wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przelaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, dnia 24 lipca, straże dały znać, że całe wojsko szwedzkie

ukazało się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu w wilję wyroju.

Szlachta siadała na koń, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w ręce i przyprowadziwszy do porządku, wyjechał na czele kilkuset ochotników, by popróbować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Szła z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk prowadzonych niewielkiemi kupami lub pojedyńczo, a takich walk, ćwiczona w sztuce robienia szablą, szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniał długą linją na horyzoncie, jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że lada chwila sypną się ku niej harcownicy, rajtarzy, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach, odległych o kilkaset kroków, zatrzymały się niewielkie kupki, w których widać było ludzi i konie i poczęły kręcić się na miejscu, co ujrzawszy pan Skoraszewski, zakomenderował bez zwłoki:

— Lewo — wtył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórkach wykwitły długie białe smugi dymu i niby ptastwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się okrzyki i jęki kilku rannych.

— Stój! — krzyknął pan Władysław.

Ptastwo przeleciało po raz drugi i trzeci — i znów świstowi zawtórowały jęki. Szlachta nie słuchała komendy naczelnika, owszem ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając — następnie oddział rozproszył się w mgnieniu oka po równinie i ruszył skokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski klął — nic nie pomogło.

Zegnawszy tak łatwo harcowników, Wittemberg posu-

wał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami, bronionemi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadano na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnem powietrzu w długie pasma, rozciągające się między wojskami, a przez luki między niemi widziała szlachta pułki szwedzkie, piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem, jak gdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się, nie zwracając najmniejszej uwagi na kule, które nie dolatując do niego, obsypywały jeno piaskiem i ziemią pracujących przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski dwie chorągwie kaliszanów, chcąc śmiałym atakiem zmieszać Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejsi parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyślnie. Dwa pułki rajtarji, wysłanej przez Wittemberga, po krótkiej walce spędziły szlachtę z pola i gnały pod sam obóz.

Tymczasem zapadł zmrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż do nocy, poczem strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słychać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona najprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni spostrzegłszy to, poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa: — Albo wszyscy, albo nikt! — znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszem, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: — Wysłano nas z gołemi brzuchami przeciw armatom! — wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittemberga, że nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niespodzianie

każe dawać. — Każdy poczyna sobie, jak mu lepiej, — mówiono, — ale świńskiego to narodu obyczaj, czołem do czoła nie stanąć. — Inni rozpaczali otwarcie. — Wykurzą nas stąd, jak jaźwca z jamy — mówili desperaci. — Obóz źle zatoczony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne. — Od czasu do czasu odzywały się głosy: — Panowie bracia! ratujcie się! — A inne wołały: — Zdrada! zdrada!

Była to noc straszna: zamieszanie i rozprzężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracili głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedołęstwo ich i niedołęstwo pospolitego ruszenia okazywało się jasno, jak na dłoni. Wittemberg mógłby był tej nocy wziąć wstępnym bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi, upadłych na duchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę, niż na walkę. Na domiar złego, Szwedzi, przeprawili się nocą pod Dziębowem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szańców i nie było z za czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski zaklinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczem wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować“! Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonemi gałęziami.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

— Mości panowie, bracia najmilsi! Nie trwóżcie się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. Od was samych zależy,

by kropla krwi więcej nie była wytoczona. Jeżeli chcecie zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o absolutum dominium zamyśla, który ojczyznę do ostatniej zguby przywiódł, jeżeli chcecie, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierzchną wszyscy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej — to oddajcie się w protekcję najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmilsi! Oto wiozę ze sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religji. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelję kozacką, zakończyć wojnę litewską i on jeden to uczynić potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrajcy zadrgał, jakoby łzami przyduszony. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzie niegdzie rzadkie głosy zakrzyknęły: — Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy! — a on przejeżdżał dalej i znów się kłaniał nowym tłumom i znów słychać było jego tubalny głos: — Mości panowie, bracia najmilsi! — Nakoniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta stłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam w tym domu toczy się sprawa nietylko o nią, ale i o całą ojczyznę. Wyszli słudzy wojewodzińscy w szkarłatnych barwach i poczęli zapraszać poważniejszych „personatów“ do środka. Ci weszli skwapliwie, za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami, tłoczyła się do okien, przykładała uszy nawet do ścian.

Milczenie panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów, wydobywający się z wnętrza izby, jakoby echa kłótni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną — końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski.

Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obłąkany, odzież rozchlastaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę i tak wpadłszy, jak piorun, między szlachtę, krzyczał przeraźliwym głosem:

— Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecją już, nie Polską!

I począł ryczeć okropnym głosem, spazmatycznym płaczem i rwać włosy, jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpaczy:

— Do broni! Do broni, kto w Boga wierzy! Do broni! do broni!

Wówczas jakieś szmery poczęły przelatywać po tłumach, jakieś szepty chwiłowe, nagłe, urywane, jak pierwsze uderzenia wiatru przed burzą. Wahały się serca, wahały umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć, tragiczny głos wołał ciągle:

— Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzetuskiego — za nimi nadbiegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęły ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szablami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić, ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

— Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczyznę zaprzedają, jak judasze i hańbią! Wiedzcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bodaj ich zabito! jeszcze podpisali w swojem i waszem imieniu, że wyrzekamy się

związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody, warownie i my wszyscy będziem po wieczne czasy do Szwecji należeć. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincję odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, paricydjum!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunku dla matki! Życie dajmy, krew wylejmy! Nie chciejmy być Szwedami, nie chciejmy, nie chciejmy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskąpi!... Ratujmy matkę!!

— Zdrada! — krzyknęło już kilkadziesiąt głosów. — Zdrada! rozsiekać!

— Do nas! kto cnotliwy! — krzyczał Skrzetuski.

— Na Szweda! na śmierć! — dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz, krzycząc: — Do nas! do kupy! zdrada! — a za nimi ruszyło już kilkuset szlachty z gołemi szablami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki spostrzegłszy, że ich niewiele poczynał się oglądać i przyzostawać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły się znowu i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie jenerała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymiljan Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki i Andrzej Słupski.

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającemi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz bladą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczyma tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, lubo nieco zachrypłym głosem:

— Mości panowie! W dniu dzisiejszym poddaliśmy się

pod protekcję najjaśniejszego króla szwedzkiego. Vivat Carolus Gustavus rex!

Cisza odpowiedziała wojewodzie; nagle zabrzmiał jakiś pojedyńczy głos:

— Veto!

Wojewoda powlókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

— Nie sejmik tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce wetować, niechajże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

— Kto mówił „veto?“

Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej:

— Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, podatki nie będą powiększone a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd, ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencji w dobrach szlacheckich, ani do innej egzakcji, niż taka, z jakiej komputowe polskie chorągwie korzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, poczem skinął ręką:

— Prócz tego mamy słowo i obietnicę jenerała Wittemberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i wszystkie zamki będą Rzeczypospolitej powrócone. Vivat Carolus Gustavus rex!

— Vivat Carolus Gustavus rex! — zawołało kilkaset głosów.

— Vivat Carolus Gustavus! — brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściskał go serdecznie, potem uściskał Wirtza; poczem wszyscy poczęli się ściskać z sobą.

Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że aż echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański prosił jeszcze miłą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:

— Mości panowie! Jenerał Wittemberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyście przy kielichach sojusz braterski z mężnym narodem zawarli.

— Vivat Wittemberg! vivat! vivat! vivat!

— A potem, mości panowie, — dodał wojewoda, — rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczniem żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili.

— Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość — rzekł Radziejowski.

— Amen! — dokończył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś wyżej, ponad jego głową.

Obrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając jedną ręką za odrzwia, pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nade drzwiami:

„M a n e — T e k e l — F a r e s."

Na świecie niebo pokryło się chmurami i zbierało się na burzę.

ROZDZIAŁ XI.

We wsi Burzec, położonej w ziemi łukowskiej, na pograniczu województwa podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie, między dworem a stawem, siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków: jeden pięcio, drugi czteroletni, czarnych i opalonych, jak Cyganiątka, a rumianych i zdrowych. Stary człek również czerstwo jeszcze wyglądał, jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bielmem pokryte, patrzyło mu zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz

czerwoną, zdobną na czole w szeroką bliznę, przez którą widać było kość czaszki.

Obaj chłopaki, chwyciwszy za uszy od cholewy jego buta, ciągnęły je w przeciwną stronę, a on patrzył na staw, oświecony blaskami słonecznemi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierznię toni.

— Ryby tańcują — mruczał sam do siebie. — Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuście, albo gdy was kucharka będzie nożem skrobała.

Poczem zwrócił się do chłopaków:

— Odczepcie się basałyki od cholewy, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za bąki uprzykrzone! Idźcie kulki przewracać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jaremka winien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzucę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy Jaremka począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

— Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka.

— Odczep się, ty żuku, mówię ci, ty smyku, ty gomółko!

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Dam ja ci Bohuna, poczekaj, jeno matki zawołam!

Jaremka spojrzał na drzwi, wychodzące z domu na ogród, ale ujrzawszy, że zamknięte i nie widząc nigdzie matki, powtórzył po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Zamęczą mnie te knoty, nie może inaczej być... Dobrze, będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie Boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie naprzykrzał.

To rzekłszy, stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagle porwał małego Longinka i wydając dzikie okrzyki, począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrońcę w osobie Jaremki, który w takich razach nie nazywał się Jaremką, ale

panem Michałem Wołodyjowskim, rotmistrzem dragońskim.

Pan Michał tedy, zbrojny w patyk lipowy, zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał, Bohun wrzeszczał, Jaremka-Wołodyjowski wrzeszczał; ale męstwo wkońcu przemogło i Bohun, opuściwszy swą ofiarę, począł zmykać zpowrotem pod lipę, nakoniec dopadłszy ławki, padł na nią, sapiąc straszliwie i powtarzając:

— Ha, basałyki!... Cud będzie, jeżeli się nie zatchnę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, gdyż za chwilę później stanął przed nim Jaremka, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętemi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrząbka i jął powtarzać z większą jeszcze, niż poprzednio, energją:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystem przyrzeczeniu złożonem przez obydwóch chłopaków, że tym razem będzie to na pewno ostatni raz, historja powtórzyła się znowu z całą dokładnością; poczem już siedli we trzech na ławie i Jaremka począł nalegać:

— Dziadziu! powiedzieć, kto był najmężniejszy.

— Ty, ty! — odrzekł staruszek.

— I wyrosnę na rycerza?

— Pewnie, że wyrośniesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, abyś był do ojca podobny, bo przy męstwie mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?

— Powiedzieć, ilu tata zabił?

— Mało sto razy mówiłem! Prędzejbyście liście na tej lipie policzyli, niż tych wszystkich nieprzyjaciół, którycheśmy obaj z waszym ojcem zgładzili. Gdybym miał tyle włosów na głowie, ilum sam położył, balwierze w Łukowskiem porobiliby fortuny — nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeślim ze...

Tu pan Zagłoba — on to był bowiem — spostrzegł, iż

nie wypada mu ani zaklinać się, ani przeklinać wobec chłopaków, więc chociaż w braku innych słuchaczów lubił i dzieciom opowiadać o swych dawniejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza, że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

— Trzeba będzie powiedzieć ogrodniczkowi, — rzekł, — aby więcierze na noc zastawił; siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłucze.

Wtem drzwi domu, wychodzące na ogród, otworzyły się i ukazała się w nich kobieta piękna jak południowe słońce, wysoka, tęga, czarnowłosa, z ciemnemi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kula agatu, trzymał się za jej suknię, a ona nakrywszy oczy ręką, poczęła patrzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska, z domu kniaziów Bułyhów-Kurcewiczów.

Ujrzawszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą, posunęła się kilka kroków ku fosie, wypełnionej wodą i zawołała:

— A bywajcie-no chłopcy! Pewnie tam dziaduniowi dokuczacie?

— Co mają dokuczać! Wcale się tu przystojnie zachowali — odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

— Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?

— Świnina była na obiad, to miód będzie grzeczniejszy.

— Zaraz przyszlę. Ale niech jeno tatuś nie drzemie na powietrzu, bo febra pewna.

— Dziś ciepło i wiatru niema. A gdzie to Jan, córuchno?

— Poszedł do stodół.

Pani Skrzetuska mówiła panu Zagłobie: ojcze, a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnem państwie wiśniowieckiem, a co do niego, Bóg jeden wiedział, skąd był rodem, gdyż sam rozmaicie o tem powiadał. Ale za czasów, gdy jeszcze była

panną, Zagłoba znamienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpieczeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go jako ojca i w całej okolicy niezmiernie był od wszystkich szanowany, tak dla obrotnego rozumu, jak i dla nadzwyczajnego męstwa, którego liczne w różnych wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośne było w całej Rzeczypospolitej — sam król kochał się w jego opowiadaniach i dowcipie, a wogóle więcej o nim mówiono, niż nawet o panu Skrzetuskim, chociaż pan Skrzetuski przedarł się w swoim czasie z oblężonego Zbaraża przez wszystkie wojska kozackie.

W chwili po odejściu pani Skrzetuskiej, pacholik przyniósł pod lipę gąsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

— Wiedział Pan Bóg dlaczego pszczoły stworzył! — mruknął pod nosem.

I jął popijać zwolna, oddychając przytem głęboko i spoglądając na staw i za staw, hen, na czarne i sine bory, ciągnące się jak okiem dojrzeć, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu, a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy spływał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liśćmi śpiewała cała kapela pszczół, które wnet poczęły siadać na zrąbku szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatemi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzcin odległych, przesłoniętych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek lub dzikich gęsi i szybowały w błękitnem przezroczu, podobne do czarnych krzyżyków; czasem klucz żórawi zaczerniał wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem — zresztą cicho było naokoło i spokojnie i słonecznie i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce sypie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu, ścigając stada ptastwa, to znowu ginęły woddali, ale coraz senniejsze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało i powieki ciężyły mu coraz bardziej — pszczoły śpiewały na różne tony swą piosenkę, jakoby umyślnie do poobiedniej drzemki.

— Tak, tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa — mruknął pan Zagłoba. — I siano dobrze zebrane i żniwa duchem pójdą... Tak, tak...

Tu przymknął oczy, poczem otworzył je znowu na chwilę — mruknął jeszcze: — Zmęczyły mnie dzieciska — i usnął na dobre.

Spał dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go lekki powiew chłodniejszego powietrza, oraz rozmowa i kroki dwóch mężów, zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny zbarażczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukrainy, bawił w domu, lecząc się z febry upartej; drugiego nie znał pan Zagłoba, chociaż wzrostem, postawą i nawet rysami twarzy, wielce był do Jana podobny.

— Przedstawiam wam, ojcaszku, — rzekł Jan, — stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

— Waszmość pan tak do Jana podobny, — odparł Zagłoba, mrugając oczyma i strząsając resztki snu z powiek, — że gdziebym waszmości spotkał, zarazbym powiedział: „Skrzetuski!“ Hej, co za gość w domu!

— Miło mi zabrać znajomość z waćpanem dobrodziejem, — odparł Stanisław, — tem bardziej, że imię znane mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

— Nie chwaląc się, robiło się, co mogło, póki się siłę czuło w kościach. Jeszcze i teraz radby człek wojny pokosztował, bo c o n s u e t u d o a l t e r a n a t u r a. Ale czemu to waćpanowie tak strapieni jesteście, aż Janowi oblicze podbladło.

— Stanisław straszne przywiózł wieści — odrzekł Jan. — Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czterdzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mimowoli macać się po boku, jakby szukając szabli.

— Jakto? — rzekł — jakto całą ją zajęli?

— Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela — odparł Stanisław Skrzetuski.

— Dlaboga!... Co waćpan mówisz!... Poddali się!...

— Nietylko się poddali, ale podpisali ugodę, w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecja, nie Polska.

— Na miłosierdzie boskie!... Na rany Ukrzyżowanego!... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę... Jeszcześmy wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweda, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczem skończy, a co najwięcej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

— A tymczasem zaczęło się od utraty prowincji, a skończy się, Bóg wie na czem.

— Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże? I waćpan był pod Ujściem?... i waćpan patrzył na to wszystko własnemi oczyma?!... Toż to poprostu zdrada była najzaraźliwsza, w dziejach niesłychana!

— I byłem i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszmość, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Staliśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łanowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi i zalegaliśmy pasy nad Notecią a b i n c u r s i o n e h o s t i l i. Prawda, że wojska było mało, a waszmość, jako doświadczony żołnierz, wiesz najlepiej, czy pospolite ruszenie może je zastąpić, a tem bardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwykła. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było po staremu dać wstręt nieprzyjacielowi i przyjnajmniej zatrzymać go, pókiby Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittemberg pokazał, zaczęto zaraz paktować, nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i swemi namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście i hańbę, jakiej przykładu dotąd nie było.

— Jakże? nikt się nie opierał?... Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmom nie wyrzucił... Wszyscyż się na zdradę ojczyzny i pana zgodzili?...

— Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawie wszyscy się zgodzili... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński, czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu pobudzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu i Bóg widzi, nie było tych zaklęć, którychbyśmy nie użyli. Ale cóż to pomogło, gdy większość wolała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittemberg obiecał, niż z szablami na bitwę. Widząc to, cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony — jedni do domów, drudzy do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiadomość królowi przywiozą, a ja, nie mając żony, ni dzieci, tu przyjechałem do brata, w tej myśli, że się przecie razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

— To waszmość prosto z pod Ujścia?

— Prosto. Tylem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmęczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i stamtąd prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy. Jan siedział z dłońmi opartemi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonąwszy jeszcze, spoglądał osłupiałym wzrokiem, to na jednego, to na drugiego...

— Złe to znaki — rzekł wkońcu posępnie Jan. — Dawniej na dziesięć zwycięstw przychodziła jedna klęska i świat dziwiliśmy męstwem. Dziś przychodzą nietylko klęski, ale i zdrady — nietylko pojedyńczych osób, ale całych prowincyj. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyzną!...

— Dlaboga, — rzekł Zagłoba, — widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce...

— Co myślisz czynić, Janie? — rzekł Stanisław,

— Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w puszczy Białowieskiej i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecie tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wyszlę.

— I nie będzie to zbytnia ostrożność, — odrzekł Stanisław, — bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

— Trzeba będzie szlachcie dać znać, — rzekł Jan, — ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczem nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby:

— A wy, ojcze, pójdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczy towarzyszyć?

— Ja? — odpowiedział pan Zagłoba — czy pójdę? Chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedybym nie poszedł, a i to prosiłbym kogo, żeby mnie wykarczował. Tak mi się chce szwedzkiego mięsa znowu pokosztować, jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, pludraki, pończoszniki!... Pchły im po łydkach inkursję czynią, więc nogi ich swędzą i przez to w domu usiedzieć nie mogą, jeno do cudzych krajów lezą... Znam ja ich, takich synów, bom jeszcze pod panem Koniecpolskim przeciw nim czynił, a chcecie waszmościowie wiedzieć, kto wziął w jasyr Gustawa Adolfa, to się nieboszczyka pana Koniecpolskiego spytajcie. Nic więcej nie powiem! Znam ja ich, ale i oni mnie znają... Nie może być inaczej, tylko się szelmy zwiedzieli, że Zagłoba się zestarzał. Tak? Poczekajcie! zobaczycie go jeszcze!... Panie! Panie wszechmogący! czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świnie sąsiedzkie włażą do niej teraz i trzy najlepsze prowincje już spyskały! Ot, co jest! Ba! ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy? Nie wiedziała zaraza kogo brać i zacnych ludzi pobrała, a zdrajców zostawiła. Dajże Boże jeszcze raz powietrze na pana wojewodę poznańskiego i na kaliskiego, a zwłaszcza

na Radziejowskiego z całą rodziną. A jeśli chcesz więcej obywatelów piekłu przysporzyć, to poszlij wszystkich tych, którzy oną kapitulację pod Ujściem podpisali. Zestarzał się Zagłoba? Zestarzał? Zobaczycie! Janie! radźmy prędzej, co czynić, bo jużbym chciał na końskim grzbiecie siedzieć!

— Pewnie, że trzeba radzić, gdzie iść. Na Ukrainę do hetmanów ciężko się przedostać, bo ich tam nieprzyjaciel odciął od Rzeczypospolitej i tylko do Krymu mają wolną drogę. Szczęście, że teraz Tatarzy po naszej stronie. Wedle mojej głowy, trzeba nam będzie do króla do Warszawy ruszyć, pana kochanego bronić!

— Byle był na to czas — odrzekł Stanisław. — Król jegomość musi tam nagwałt zbierać chorągwie i wprzód nim przyjdziemy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.

— I to być może.

— Jedźmy tedy ku Warszawie, byle śpiesznie — rzekł Zagłoba. — Posłuchajcie waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc jabym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika, ile się da, żeby tak choć z chorągiewkę panu przyprowadzić. Łatwo ich do tego namówimy, bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno — a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą, więcej można będzie sprawić i przyjmą nas z otwartemi rękoma.

— Nie dziw się waszmość moim słowom, — rzekł pan Stanisław, — ale po tem, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wolę sam iść, niżeli z tłumem ludzi wojny nie znających.

— To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, którenby w wojsku nie sługiwał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierze.

— Chyba, że tak.

— Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekajcie-no! Jan

to już wie, że gdy raz pocznę głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfidencji z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tem wygrywał.

— Mówcie-no ojcze, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda — rzekł Jan.

— Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije; a bije ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Poco mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwowa, albo na Litwę wyjechał; ja waszmościom radzę, abyśmy bez zwłoki udali się pod chorągiew hetmana wielkiego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczery to pan i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynajmniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam będzie prawda, bo z dwoma nieprzyjaciółmi robota; ale zato pana Michała Wołodyjowkiego zobaczymy, który w kompucie litewskim służy i znów po staremu do kupy się zbierzem, jako za dawnych czasów. Jeżeli niedobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed za rapcie w jasyr poprowadzi.

— A kto wie? a kto wie? — odrzekł żywo Jan. — Może tak będzie najlepiej.

— I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odprowadzimy, bo właśnie przez puszczę przyjdzie nam jechać...

— I w wojsku, nie między pospolitakami będziem służyli — dodał Stanisław.

— I będziem się bić, nie sejmikować, ani kury po wsiach i twarogi wyjadać.

— Waszmość to widzę nietylko w wojnie, ale i w radzie prym możesz trzymać — rzekł pan Stanisław.

— Co? ha?

— Istotnie, istotnie! — rzekł Jan. — Najlepsza to rada.

Po staremu, kupą z Michałem pójdziemy. Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczypospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy teraz do Halszki powiedzieć jej, żeby się też w drogę szykowała.

— Aza wie ona już o wojnie? — zapytał pan Zagłoba.

— Wie, wie, bo przy niej najpierwiej Stanisław opowiadał. Cała we łzach nieboga... Ale gdym jej rzekł, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: „Idź!“

— Chciałbym jutro już ruszyć! — zakrzyknął Zagłoba.

— To też wyruszymy jutro i to do dnia — rzekł Jan. — Ty, Stanisławie, musisz być fatigatus wielce po drodze, ale do jutra wywczasujesz się, jak będziesz mógł. Ja dziś jeszcze konie wyszlę z pewnymi ludźmi do Białej, do Łosic, do Drohiczyna i do Bielska, żeby wszędzie świeże były na przeprzążkę. A za Bielskiem puszcza tuż. Wozy z zapasami wyjdą także dzisiaj. Żal z kochanego kąta ruszać w świat, ale wola boska! Tem się pocieszam, że o żonę i dziatki będę bezpieczny, bo puszcza najlepsza to w świecie forteca. Chodźcie waszmościowie do domu, bo czas się ekspedycją zająć.

Poszli.

Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzątnęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora, na noc, a nazajutrz w dzień pociągnęła za nimi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan, wraz z pięcioma pachołkami, jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świeże konie czekały.

Tak jadąc i nie wypoczywając nawet nocami, piątego dnia dojechali do Bielska, a szóstego pogrążyli się już w puszczę od strony Hajnowszczyzny.

Objęły ich wraz mroki olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się

z jednej strony pasmem nieprzerwanem aż hen z puszczą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskiemi borami.

Żaden najezdnik nie deptał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człek nieobeznany mógł zabłądzić i błąkać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzętom. Nocami odzywały się tu ryki żubrów i niedźwiedzi, wraz z wyciem wilków i beczeniem chrapliwem rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza, obok zwałów, wywrotów, bagien i straszliwych śpiących jeziorek, do rozrzuconych wsi budników, smolarzy i osaczników, którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec, przerywany Suchą drogą, którą królowie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzetuscy.

Pan Stabrowski, łowczy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwartemi rękami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widując, chyba wtedy gdy dwór zjechał na łowy.

On to zawiadował całem gospodarstwem myśliwskiem i wszystkiemi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzetuskiego dowiedział.

Częstokroć bowiem tak bywało, że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść o tem nawet nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywoził nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wracał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

— Nudno tu będzie, bo nudno! — mówił pan Stabrowski do Heleny — ale przezpiecznie, jakby nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a choćby i próbował, toby mu osacznicy wszystkich ludzi wlot wystrzelali. Łatwiej Rzeczpospolitą całą zawojować — czego Boże nie daj! — niż puszczę. Dwadzieścia

lat już tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierz tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stacje, do których się przed głosami dzwonów kościelnych chronią. Ale my żyjem po bożemu, bo we wsi jest kaplica, do której ksiądz z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu, jak w niebie, jeśli nuda nie dokuczy. Zato drzew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł; ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszczał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtaniem nawskroś puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.

ROZDZIAŁ XII.

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą, po uciążliwej drodze z puszczy, przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza, że dawno już nie miał o nich żadnej wieści, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikował na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też zkolei w ramiona i wyściskawszy, znowu ściskał i ręce zacierał; a gdy mu powiedzieli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nieprędko się rozłączą.

— Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy zbarażczykowie — mówił. — Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

— To była moja myśl, — rzekł pan Zagłoba, — bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: A czemu to nie mamy sobie z panem Michałem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczęści, jak z kozakami i Tatarami szczęścił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziem na sumieniu.

— Bóg waści natchnął tą myślą! — rzekł pan Michał.

— Ale mi dziwno, — rzekł Jan, — żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali, myśląc, że pierwsi będziem nieszczęście zwiastowali.

— Musiała przez Żydów wieść tutaj przyjść, — rzekł Zagłoba, — bo oni zawsze najpierwsi wszystko wiedzą i taka między nimi korespondencja, że jak który rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówią mu na Żmudzi i na Ukrainie: „Na zdrowie!“

— Nie wiem, jak to było, ale od dwóch dni wiemy — rzekł pan Michał — i konsternacja tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześmy niebardzo wierzyli, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz książę-wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się kręcił, jak mucha w ukropie i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągi od dwóch miesięcy z jego rozkazu czyniono. Zaciągałem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży orszański, który, jako słyszałem, już gotowiuśką chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierwej z nas wszystkich uwinął...

— Znaszże ty, Michale, dobrze księcia-wojewodę wileńskiego? — pytał Jan.

— Jak go nie mam znać, kiedym całą wojnę teraźniejszą pod jego komendą odbywał.

— Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

— Wojownik jest doskonały; kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć tysięcy wojska na ośmdziesiąt... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go za to potępiają, mówiąc, iż przez to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktorją nie dzielić... Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mężnie i sam życia nie szczędził... A ja, którym na

wszystko patrzył, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska nie uszłaby z tego kraju. Tak myślę, że szczerze on się teraz weźmie do Szwedów i pewno ich tu nie będziem czekali, ale do Inflant ruszymy.

— Z czegoż to suponujesz?

— Z dwóch powodów: raz, że książę będzie chciał reputację swą, nieco po cybichowskiej bitwie zachwianą, poprawić, a po wtóre, że wojnę kocha...

— Tak jest, — rzekł Zagłoba, — znam ja go, bośmy razem w szkołach byli i pensa za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanję trzymać, bom ja także wolał konia i dzidkę niż łacinę.

— Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek — rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodyjowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło i za czuprynę się targał, słuchając opowiadania; wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł:

— Masz waszmość słuszność! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak djabeł i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od radziwiłłowskiego niema, prawda! Oporu on nie znosi, prawda — i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zacnego człeka, o to zagniewan, że ten nie skacze, jak mu Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał... Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć, niż do prawdziwej wiary się nawrócić; że katolików, gdzie może ciśnie; że zbory heretyków stawia... Ale zato przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć, niż taką kapitulację, jak pod Ujściem, podpisać... Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba, ale wojownik będzie nam hetmanił.

— W to mi graj! — rzekł Zagłoba. — Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba i zaraz się pokazało, do

czego zdatny... Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, to zaraz myśli, że wszystkie rozumy pojadł... Taki syn innym przymawia, a jak przyjdzie do szabli, to go niemasz. Sam zamłodu rytmy układałem, żeby białogłowskie serca kaptować i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

— Przytem jeszcze i to wam powiem, — rzekł Wołodyjowski, — że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

— Na Boga, nie chcę pospolitaków! — zakrzyknął pan Stanisław. — Jan i jegomość pan Zagłoba znają już mój sentyment, a waszmości powiem, że wolę być ciurą w regularnej chorągwi, niż hetmanem nad całem pospolitem ruszeniem.

— Tutejszy lud mężny — odrzekł pan Wołodyjowski — i bardzo sprawny. Mam tego przykład z mojego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, niemasz i jednego takiego, coby poprzednio nie służył. Pokażę waściom tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, tobyście nie poznali, że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu, jak stara podkowa, a w szyku stoją, jako triarii rzymscy. Nie pójdzie z nimi tak łatwo Szwedom, jak pod Ujściem z Wielkopolanami.

— Mam nadzieję, że to Bóg wszystko odmieni — rzekł Skrzetuski. — Mówią, że Szwedzi dobrzy pachołkowie, ale przecie nigdy nie mogli naszym wojskom komputowym wytrzymać. Biliśmy ich zawsze — to już wypróbowana rzecz — biliśmy ich nawet wtedy, gdy im przywodził największy wojownik, jakiego kiedykolwiek mieli.

— Coprawda, to okrutniem ciekawy, co też umieją — odpowiedział pan Wołodyjowski — i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębią, wcalebym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Popróbowaliśmy i Turków i Ta-

tarów i kozaków i Bóg wie nie kogo — godzi się teraz Szwedów popróbować. W koronie z tem tylko może być kłopot, że wszystkie wojska z hetmanami na Ukrainie zajęte. Ale tu widzę już, co się stanie. Oto książę wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi polnemu zostawi, a sam się Szwedami szczerze zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejmy nadzieję, że Pan Bóg pomoże.

— Jedźmy tedy, nie mieszkając, do Kiejdan! — rzekł pan Stanisław.

— Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć wpogotowiu, a samemu się w trzech dniach w Kiejdanach stawić — odpowiedział pan Michał. — Ale muszę też waściom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znaczno, że tam książę-wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik, stojący pod oknem na ławie, wydobył z niego papier złożony na dwoje i rozwinąwszy, począł czytać:

„Mości panie Wołodyjowski pułkowniku!

Z wielką radością odczytaliśmy raport waszmości, że chorągiew już na nogach i w każdej chwili może w pochód ruszyć. Trzymaj ją waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najśpieszniej do Kiejdan, gdzie go niecierpliwie oczekiwać będziemy. Gdyby waszmości dochodziły jakie wieści — tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpimy tak, jak sam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowodnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem radziwiłłowskiego domu i kto nawet in rebus adversis służyć mu gotów. Kmicic, Niewiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie; waszmościna niech w Upicie zostanie, bo tam może być potrzeba, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mojego stryjecznego j. o. x. Bo-

gusława, który tam znaczne partje naszych sił ma pod sobą. O tem wszystkiem dowiesz się dokładnie z ust naszych — tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

Janusz Radziwiłł,
książę na Birżach i Dubinkach,
wojewoda wileński, hetman w. litewski.“

— Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! — rzekł Zagłoba.

— A że książę pisze, że postąpi jak mu Bóg nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda — dodał pan Stanisław.

— Dziwno mi tylko, — rzekł pan Skrzetuski, — że pisze o wierności dla domu radziwiłłowskiego, nie dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

— To taka ich pańska maniera, — odparł Wołodyjowski, — choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom służę.

— A kiedyś ten list odebrał? — spytał Jan.

— Dziś rano i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.

— Może na Podlasie? — rzekł Zagłoba.

— Do księcia koniuszego! — powtórzył pan Stanisław.

— Książę koniuszy, Bogusław, także teraz w Kiejdanach — odparł Wołodyjowski. — Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatrujcie. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale niemasz w nim za grosz Polaka. Z cudzoziemska się nosi i po niemiecku, albo zgoła po francusku gada, jakoby orzechy gryzł, której mowy godzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

— Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynał — rzekł Zagłoba — i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

— Ci co go bliżej znają, niebardzo go chwalą, — mówił dalej Wołodyjowski, — bo się jeno w Niemcach i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z Niemkini rodzi, elektorówny brandenburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk, nietylko, że wiana żadnego nie wziął, ale, jak to widać u tych książątek chuda fara, jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w Rzeszy Niemieckiej, której są książętami, suffragia mieli i dlatego radzi z Niemcami się łączą. Powiedział mi o tem pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem zagranicą po różnych zamorskich krajach i zawsze na świadków do pojedynków sługiwali.

— Tyleż to on pojedynków odbywał — pytał pan Zagłoba.

— Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt i grafów zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, bo to, mówią, człek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyślenia i rzekł:

— Słyszałem i ja o księciu Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on ciągle przesiaduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspominał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorówną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom jak radziwiłłowski, z obcymi się łączy, ale bogdaj, że lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koligat, tem życzliwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmość powiadasz, że u nich chuda fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, toby za nich elektora z całem księstwem kupił, ale dzisiejszy kurfirst Fryderyk Wilhelm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którem śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeżeli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie

dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

— Zali on to uczyni? — pytał Jan.

— Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! — odparł Stanisław.

— Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką — rzekł pan Zagłoba. — Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfirsta; zawsze to mruk był, rzekłbyś ciągle słuchał, co mu djabeł do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusach byli. Taki on luter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze z sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzyli...

— Wiesz co, Michale? — rzekł nagle Jan. — Nie będę dziś wypoczywał, ale pojadę z tobą do Kiejdan. Teraz nocami lepiej jechać, bo we dnie upał, a pilno mi już wyjść z niepewności. Na wypoczynek jeszcze czas, bo pewnie książę jutro jeszcze nie ruszy.

— Tem bardziej, że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać — odrzekł pan Michał.

— Dobrze mówicie! — zawołał pan Zagłoba — pojadę i ja!

— To jedźmy wszyscy razem — dodał pan Stanisław.

— Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach, — rzekł pan Wołodyjowski, — a w drodze i na kulbakach można się słodko przedrzemać.

We dwie godziny później, podjadłszy i podpiwszy nieco, ruszyli rycerze w podróż i jeszcze przed zachodem słońca stanęli w Krakinowie.

Przez drogę opowiadał im pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu i o wszystkiem, co się od pewnego czasu zdarzyło. Przyznał się i do afektu swego dla panny Billewiczówny, nieszczęśliwego, jak zwykle.

— Cała rzecz, że wojna bliska, — mówił, — bo inaczej srodzebym się zmartwił, gdyż czasem myślę, że takie to już

moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

— Nie stanie ci się krzywda, — rzekł pan Zagłoba, — bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśliłem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będzie komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Jana, jak swoje, wszelako Skrzetuscy, to nie Zagłobowie.

— O niecnoto! — rzekł Wołodyjowski. — Takeś się wacpan wcześnie z tem postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owiec nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

— A nieprawda! — rzekł Zagłoba. — Nie tak to dawno, panie Michale, jakeśmy ze sobą w Warszawie na elekcji byli. Za kimże się wszystkie podwiki oglądały, jeśli nie za mną?... Pamiętasz, jakeś to narzekał, że na ciebie żadna nie spojrzy? Ale jeśli taką masz ochotę do stanu małżeńskiego, to się nie martw. Przyjdzie i twoja kolej. Nanic tu szukanie i właśnie wtedy znajdziesz, kiedy nie będziesz szukał. Teraz czasy wojenne i siła zacnych kawalerów co rok ginie. Niech jeno i ta szwedzka wojna potrwa, to dziewki doreszty stanieją i będziemy je na tuziny na jarmarku kupowali.

— Może i mnie zginąć przyjdzie — rzekł pan Michał.— Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waściom nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna, ta Billewiczówna. Byłby ją człowiek miłował i hołubił, jakby co najlepszego... Nie! musieli djabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnieby mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie! Właśnie tam z za górki Wodokty widać, ale w domu niemasz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie... Moje to byłoby schronisko; niechbym był tu żywota dokonał... Niedźwiedź ma swój barłog, wilk swoją jamę, a ja, ot! jeno tę szkapę i tę kulbakę, na której siedzę...

— To widzę, że cię jak cierń zakłuła? — rzekł pan Zagłoba.

— Pewnie, że jak sobie wspomnę, albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Schyllinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz ją w drodze zdaleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy — i cóż waćpaństwo powiecie — ojcam w domu nie zastał a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko pachołek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, żem się tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać.

— Bodajże cię, panie Michale! Cała rzecz w tem, żebyś znalazł żonę tak nikczemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestyjka podziała, co to przy księżnie Wiśniowieckiej respektową była, z którą to nieboszczyk pan Podbipięta — Panie! świeć nad jego duszą, — miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka, choć jej się oczy okrutnie świeciły.

— To Anusia Borzobohata Krasieńska — rzekł pan Jan Skrzetuski. — Wszyscyśmy się w niej swego czasu kochali i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.

— Żeby ją tak odszukać a pocieszyć! — rzekł pan Michał. — Jakeście ją wspomnieli, aż mi się ciepło koło serca uczyniło. Najzacniejsza to była dziewka. Bógby mi dał ją spotkać!... Ej, dobre to były dawne łubniańskie czasy, ale się już nigdy nie wrócą. Nie będzie też już chyba nigdy takiego wodza, jak był nasz książę Jeremi. Człowiek wiedział, że po każdem spotkaniu wiktorja nastąpi. Radziwiłł wielki wojownik, ale nie taki i już nie z tem sercem mu się służy, bo on i jego ojcowskiego afektu dla żołnierzy nie ma i do konfidencji nie dopuszcza, mając się za jakowegoś monarchę, chociaż przecie Wiśniowieccy nie gorsi byli od Radziwiłłów.

— Mniejsza z tem — rzekł Jan Skrzetuski. — w jego ręku teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogosławi.

Tak to rozmawiali rycerze, jadąc wśród nocy i to dawne

sprawy wspominali, to mówili o teraźniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwaliły się na Rzeczpospolitą.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odmawiania litanji, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli drzemać i kiwać się na kulbakach.

Noc była pogodna, ciepła, gwiazdy migotały tysiącami na niebie; oni, jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy zaczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

— Mości panowie, otworzyć oczy, Kiejdany już widać! — zakrzyknął.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba. — Kiejdany? gdzie?

— A ot, tam! Wieże widać.

— Zacne jakieś miasto — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bardzo zacne — odpowiedział Wołodyjowski — i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tem przekonacie.

— Wszakże to dziedzictwo księcia wojewody?

— Tak jest. Przedtem było Kiszków, od których je ojciec teraźniejszego księcia otrzymał w posagu za Anną Kiszczanką, córką wojewodzica witebskiego. W całej Żmudzi niemasz tak porządnego miasta, bo Radziwiłłowie Żydów nie puszczają, chyba za osobnem pozwoleniem. Miody tu sławne.

Zagłoba przetarł oczy.

— A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Co to za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

— To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

— Obronny?

— Nie, ale rezydencja wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zachodził w te strony od czasów krzyżackich. Ten śpiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzicie, to od kościoła farnego. Krzyżacy go wznieśli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinom oddany, ale go ksiądz Kobyliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.

— To i chwała Bogu!

Tak rozmawiając, dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.

Tymczasem stawało się coraz jaśniej na świecie i słońce poczynało wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nieznanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:

— To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z Żydów, które mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho! już ludzie budzą się i poczynają z domów wychodzić. Patrzcie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłłowskich. Musi być jakiś zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusła i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie waszmościowie jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoć w Gdańsku niemasz. A to, co bierzecie za kościół o czterech wieżach, to zbór helwecki, w którym co niedziela Bogu bluźnią — a tam to kościół luterski. Myślicie zaś, że tu mieszczanie Polacy albo Litwini — wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejdańskich. Hej! co wozów z łubami na rynku! Pewnie zjazd jaki. Gospody żadnej niemasz w tem mieście, jeno znajomi do znajomych zajeżdżają, a szlachta do zamku, w którym są oficyny długie na kilkadziesiąt łokci, tylko dla gości przeznaczone. Tam podejmują każdego uczciwie, choćby i przez rok, na koszt księcia pana, a są tacy, którzy całe życie tu siedzą.

— Dziwno mi to, że piorun tego zboru helweckiego nie zapalił? — rzekł Zagłoba.

— Jakbyś waść wiedział, że się to zdarzyło. W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniuszego Bogusława, Janusz, ten,

który do rokoszu przeciw Zygmuntowi III należał. Własny hajduk mu czaszkę rozpłatał i tak zginął marnie, jak i żył grzesznie.

— A to co za rozległa budowla, do szopy murowanej podobna? — pytał Jan.

— To jest papiernia od księcia założona, a tu obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

— Tfu! — rzekł Zagłoba — zaraza na to miasto, gdzie człek innego powietrza jak heretyckie do brzucha nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować, jak i Radziwiłł.

— Mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — nie bluźń Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto i dziwiąc się jego porządkom, bo ulice całkiem były brukowane kamieniami, co w owych czasach za osobliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową, ujrzeli na podniesieniu wspaniałą rezydencję, świeżo przez księcia Janusza wzniesioną, nieobronną istotnie, ale ogromem nietylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp jego leżące. Z obu stron głównego korpusu biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prostemi i tworząc olbrzymi dziedziniec, zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długiemi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowana, na niej herby radziwiłłowskie i herb miasta Kiejdan, przedstawiający nogę orlą ze skrzydłem czarnem w złotem polu, a u nogi podkowę o trzech krzyżach czerwoną. Nisko w bramie był odwach i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dla obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztrował się pułk dragonów, przybrany w błękitne kolety i szwedzkie hełmy. Długi ich szereg stał właśnie nieruchomie, z gołemi rapierami w ręku, oficer zaś przejeżdżając przed frontem, mówił coś do żołnierzy. Naokoło szeregu i dalej pod ścia-

nami, mnóstwo czeladzi w rozmaitych barwach gapiło się na dragonów, czyniąc sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

— Jak mi Bóg miły! — rzekł pan Michał — toż to Charłamp pułk musztruje.

— Jakto? — zawołał Zagłoba — tenże to sam, z którym miałeś się pojedynkować, w czasie elekcji w Lipkowie?

— Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej komitywie żyjemy.

— A prawda! — rzekł Zagłoba — poznaję go po nosie, który mu z pod hełmu sterczy. Dobrze, że przyłbice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.

Tymczasem pan Charłamp, spostrzegłszy Wołodyjowskiego, puścił się ku niemu rysią.

— Jak się miewasz Michałku? — zawołał. — Dobrze, żeś przyjechał!

— Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy, Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, zbarażczyk...

— Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! — zakrzyknął Charłamp. — Czołem, czołem!

— A to Stanisław, rotmistrz kaliski, — mówił dalej pan Wołodyjowski, — który z pod Ujścia wprost jedzie.

— Z pod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę waćpan patrzyłeś... Wiemy już co się tam stało.

— Właśnie dlatego, że się tam to stało, ja tu przyjechałem w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.

— Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł, to nie Opaliński.

— Toż samo wczoraj mówiliśmy w Upicie.

— Witam waszmościów najradośniej imieniem własnem i książęcem. Rad książę wojewoda będzie, gdy takich rycerzy zobaczy, bo mu ich bardzo potrzeba. Chodźcieże do mnie, do cekhauzu, gdzie jest moja kwatera. Pewnie zechcecie

się przebrać i posilić, a ja będę wam też towarzyszył, bom już musztrę skończył.

To rzekłszy, pan Charłamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim donośnym głosem:

— Lewo! zwrot — wtył!

Kopyta zadźwięczały po bruku. Szereg rozłamał się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, aż wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły oddalać się w stronę cekhauzu.

— Dobrzy żołnierze — rzekł Skrzetuski, patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

— Sama to drobna szlachta i sami bojarzynkowie putni w tej broni służą — odparł pan Wołodyjowski.

— O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! — zawołał pan Stanisław.

— Ale że to Charłamp im porucznikuje? — pytał Zagłoba. — Czyli się mylę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

— Tak jest, — rzekł Wołodyjowski, — ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłamp, odesławszy dragonów, zbliżył się do naszych rycerzy.

— Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabielonego śmietaną i rozmawiali o nowej wojnie.

— A u was co słychać? — pytał pan Wołodyjowski.

— U nas słychać codzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają — odparł Charłamp. — A naprawdę, to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesołość i na ludzi tak łaskaw, jak nigdy, to przecież okrutnie zamyślony. Po nocach, powiadają, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi i sam ze sobą głośno

gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

— Cóż to za Harasimowicz? — spytał pan Wołodyjowski.

— To gubernator z Zabłudowa, z Podlasia, niewielka figura i tak wygląda jakby djabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają: od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora. Są tu tacy, którzy powiadają, że książę z Moskwą paktuje, by ją do ligi przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi ne będzie, jeno wojna, jak rzekłem, z tymi i z owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszędy pełno zbrojnego ludu... Ej, mości panowie! na kim się skrupi, na tym się zmiele, ale ręce będziem mieli po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole, to nie będzie paktował.

— Oj, to! oj, to! — rzekł Zagłoba, zacierając dłonie.— Przyschło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzcianą pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

— A książę Bogusław tu jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— A jakże. Prócz tego spodziewamy się dziś jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wieczorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

— Samże on mnie na dziś wezwał.

— To nic, ale okrutnie zajęty... Przytem... nie wiem, czy mogę waszmościom o tem mówić... wszelako, za godzinę i tak wszyscy o tem wiedzieć będą... więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...

— Co takiego? co takiego? — pytał Zagłoba.

— Owóż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański, o którym musieliście słyszeć.

— A jakże, — rzekł Jan, — wielki to rycerz!

— Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetman polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacji i nieprzyjaźni pan hetman polny żyje z naszym księciem. Niektórzy tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami i mówili, że to ją właśnie inkursja szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę, pozamykali wszystkie drzwi, nikt nic nie mógł słyszeć o czem radzili; jeno pan Krepsztul, który wartę za drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno rozprawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam książę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy imaginujcie sobie (tu pan Charłamp zniżył głos), wartę każdemu we drzwiach postawili.

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.

— Na Boga! nie może być!

— A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach Szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...

Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp niemniej był zdumiony własnemi słowami i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

— To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? — mówił Zagłoba — co to jest?

— Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

— Musieli przecie oficerowie książęcy mówić z sobą o tem, zgadywać powody... Nicześ nie słyszał?

— Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

— I cóż waćpanu powiedział — pytał Zagłoba.

— Nic nie chciał mówić, jeno palce na gębę położył i rzekł: „To zdrajcy!“

— Jakto zdrajcy?... jakto zdrajcy? — wołał biorąc się za głowę Wołodyjowski. — Ani pan podskarbi Gosiewski nie zdrajca, ani pan Judycki nie zdrajca. Toż ich cała Rzeczpospolita zna, jako zacnych ludzi i ojczyznę kochających.

— Dziś nikomu nie można wierzyć — odparł posępnie Stanisław Skrzetuski. — Albo to Krzysztof Opaliński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrzucał innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przyszło co do czego, pierwszy zdradził i nie własną tylko osobę, ale całą prowincję do zdrady pociągnął.

— Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judyckiego głowę daję! — wołał Wołodyjowski.

— Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo — odrzekł Zagłoba. — Jużci nie bez kozery ich aresztowano. Musieli w jakieś konszachty wchodzić, nie może być inaczej... Jakto? książę gotuje się na wojnę okrutną i każda pomoc mu miła... Kogóż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeżeli nie tych, co mu do wojny przeszkadzają?... Co jeśli tak jest, jeśli ci dwaj panowie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warci w podziemiu siedzieć... Ha! szelmy!... W takiej chwili praktyki czynić, z nieprzyjacielem się znosić, na ojczyznę nastawać, wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać. Na Matkę Najświętszą, mało i tego, co ich spotkało!

— Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić, — rzekł Charłamp, — bo już pominąwszy, że to tak wielcy dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa uczynić.

— Jako żywo! — zakrzyknął pan Michał.

— Widać książę jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje — rzekł Stanisław Skrzetuski — i dyktatorem w czasie wojny zostać.

— A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił — odpowiedział Zagłoba. — Ja pierwszy votum zatem daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyślił się i rzekł po chwili:

— Byle nie chciał zostać protektorem, jako ów Angielczyk Kromwel, któren na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

— Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! — zakrzyknął Zagłoba.

— A książę wojewoda? — spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

Na to umilkli wszyscy i ze strachem patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp nasrożył się zaraz i rzekł:

— Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małom młodszy od niego, bo najprzód, młodzikiem jeszcze, był moim rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę, nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegoś, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charłamp począł okrutnie wąsiskami ruszać i trochę zpodełba spoglądać na pana Jana Skrzetuskiego, co widząc pan Wołodyjowski, utkwił znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

— Warknij-no tylko!

Wąsal pomiarkował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał w nadzwyczajnej estymie, a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej, tonem daleko już łagodniejszym:

— Kalwin książę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie Kromwelem, ani Radziejowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miały się w ziemię zapaść. Nie taka to krew, nie taki to ród!

— Jeśli jest djabłem i ma rogi na głowie, — rzekł pan Zagłoba, — to tem lepiej, bo będzie miał czem Szwedów bóść.

— Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki aresztowani?... no no! — mówił, kręcąc głową Wołodyjowski. — Niebardzo książę na swych gości, którzy mu zaufani, łaskaw.

— Co mówisz, Michale! — odparł Charłamp. — Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jak to dawniej miał wiecznie kozła na czole, a w gębie jedno słowo: „służba!“ Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu, niż do królewskiego, a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi, a rozmawia, a każdego pyta o familję, o dzieci, o fortunę i po nazwisku każdemu mówi, a rozpytuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj, nie, onegdaj chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielki to ród Kmicica, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim cięży, o czem ty wiesz najlepiej.

— Wiem, wiem — rzekł pan Wołodyjowski. — To Kmicic dawno tu jest?

— Teraz go niema, bo wczoraj pojechał do Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie jest w takich faworach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, książę spoglądał za nim przez chwilę, a potem rzekł: „Do wszystkiego ten to człowiek i gotów samego djabła za ogon przytrzymać, gdy mu każę!“ Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że taką chorągiew Kmicic przyprowadził jakiej drugiej w całem wojsku niemasz. Ludzie i konie, jak smoki.

— Niema co i gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko — odrzekł pan Michał.

— Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż

cenę na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to szlachcic, lat około czterdziestu, mały, suchy, ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkiemi wargami, porosłemi rzadkim wąsem i trochę kosemi oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy z tak długiemi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy, zgiął się we dwoje, potem wyprostował się nagle, jakby sprężyną podrzucony, potem znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową, jakby ją wydobywał z pod własnej pachy i zaczął mówić szybko głosem, przypominającym skrzypienie zardzewiałej chorągiewki:

— Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!

— Czołem, panie Harasimowicz — odrzekł Charłamp. — A czego to waść życzysz?

— Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszedłem służby ofiarować i o godność spytać.

— Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?

— Pewnie, że nie do mnie, bom tego i nie godzien... Ale że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przyszedłem powitać, nisko powitać!

— Daleko waćpanu do marszałka, — odrzekł Charłamp, — bo marszałek jest personat i posesjonat, a waćpan sobie, z przeproszeniem, podstarości zabłudowski.

— Sługa sług radziwiłłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale że książę, dowiedziawszy się o gościach, przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nietylko podstarościm zabłudowskim.

— Nawet i małpiebym odpowiedział, gdyby do mnie z rozkazem przyszła — rzekł nosacz. — Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby

ojczyzna. Daj Boże, abyśmy się tu czego lepszego doczekali — mówił posępnie Jan.

— Nie odetchnę, aż w polu! — rzekł Stanisław.

— Żeby to już prędzej tego księcia zobaczyć! — zakrzyknął Zagłoba.

Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz z niższemi jeszcze ukłonami i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani i poszli. Harasimowicz, wyprowadziwszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyńcze grupy oficerów i szlachty słuchały mówców, którzy stojąc pośrodku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słychać było słowa: — Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Niewiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!

Takie to słowa, jedne od drugich straszniejsze, odbijały się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: — Jak się masz Michale? Źle z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A to co za gości prowadzisz do księcia? — Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki uniknąć, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, ścisk był jeszcze większy, niż na po-

dwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono książęcą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę do sali audjencjonalnej, w której w tej chwili książę przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku, powtarzając co chwila: — Zwolna, mości panowie! zwolna! — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami, gdy trabant zagradzał drogę halabardą, by idący naprzód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazurowe sklepienia sali zabłysły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł najprzód na wzniesienie. ustawione w głębi sali, zajęte przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od innych, z wysokiem tylnem oparciem, zakończonem złoconą mitrą książęcą, z pod której spływał nadół amarantowy aksamit, obramowany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty i zatrzymali się, widząc w głębi za stołem, pokrytym papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach, spadających na ramiona, szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu

głową; tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownemi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się wdół wąsy, nadawały jej wyraz posępny i cała w swej potędze i ogromie była jakby wykuta wielkiemi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nietylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej za ciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birżach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:

— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

— Skoro nie może być inaczej, to jedź w. ks. mość, — rzekł Janusz, — choć wolałbym, żebyś został, bo niewiadomo, co się stać może.

— W. ks. mość obmyśliłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej w sprawy trzeba wejrzeć, a zatem Bogu w. ks. mość polecam.

— Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.

— Adieu, mon frère.

— Adieu.

Dwaj książęta podali sobie ręce, poczem koniuszy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

— Wybaczcie waszmościowie, że pozwoliłem czekać, — rzekł niskim, powolnym głosem, — ale teraz i uwaga i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się w duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

— Jam jest, do usług waszej książęcej mości — rzekł Jan.

— To waszmość jesteś starostą... bodajże cię... zapomniałem...

— Żadnym starostą nie jestem — odrzekł Jan.

— Jakto? — rzekł książę, marszcząc swe potężne brwi — waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

— Nigdym o to nie zabiegał.

— Bo ci powinni byli dać bez starania. Jakto? Co waćpan mówisz? Niczemć nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi i dziwno. Ale ba! źle mówię, nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie jesteś starostą, proszę!... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mości pułkowniku Wołodyjowski...

— Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

— Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten dokument, w Rosieniach już roborowany, którym ci Dydkiemie w dożywocie puszczam. Niezły to kawał ziemi i sto pługów wychodzi w nim co wiosnę orać. Weźże i to, bo nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu, że Radziwiłł

nie zapomina swych przyjaciół, ani tych, którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

— Wasza książęca mość!... — wyjąkał zmieszany pan Michał.

— Nie mów nic i wybaczaj, że tak mało, ale powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoją fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy. Nie jestem królem, ale — gdybym nim był — Bóg mi świadek, że nie zapomniałbym nigdy takiego Jana Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...

— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się raźno naprzód, bo już go to niecierpliwić zaczynało, że nie było o nim dotąd wzmianki.

— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano, żeś człek w lata podeszły.

— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była od dzieciństwa inklinacja, przeto mnie do poufałości przypuszczał, bo i ja wolałem dzidkę od łaciny.

Pan Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nieboszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Januszem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę Janusz znacznie był młodszy.

— No proszę, — rzekł książę, — to waćpan z Litwy rodem?

— Z Litwy! — odrzekł bez zająknienia pan Zagłoba.

— To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my Litwini już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dlaboga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale taki to los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to głową nie kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekłeś przesławnego Burłaja i ściąłeś trzy głowy pod Zbarażem?

— Burłaja ja usiekłem, wasza książęca mość, — rzekł Zagłoba, — bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo niecałkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza ks. mość, choć człowiekowi i markotno — odparł Zagłoba.

— Pocieszcieże się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza ks. mość, — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski, — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciel naszedł ojczyznę, więc chcemy jej zdrowiem naszem iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojaźń, nieład, hańbę i zdradę, a wkońcu na triumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktorje, nie triumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dlatego służby nasze waszej ks. mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze, bić się chcemy i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę poważnie. — Nie będziecie długo czekali choć najprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtą stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie i mnie robota pali. A przyjdźcieże wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku

Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranym panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczorem dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciółmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan, począł podawać zkolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaskawym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz, to wojownik! — mówił Stanisław, gdy zpowrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audjencjonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi napamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Niemasz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, co to pierwszy z rodu na senatorskiem krześle zasiadł i hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa i swój konterfekt zaraz każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzyć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu widzę o promocję, niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętemi oczami i już szczupaka dzierżysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie; ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo, czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz,

to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żal i jęzor sobie wystrzępić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję, — rzecze pan Michał, — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocję łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyszałem starych żołnierzy, pomawiających księcia o awarycję, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyń to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność książęcą narzekał, to go z za pasa wyciągnij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książę sobie ludzi kaptuje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboś to nie słyszał o tych zamiarach? — odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nietylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicja, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich ze sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz! ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

— Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać, — odrzekł bystrooki pan Wołodyjowski, — gdyż zdaleka poznaję, że to ksiądz biskup Parczewski nadjeżdża z księdzem Białozorem, archidiakonem wileńskim.

Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?

— Cóż mają czynić? Gdy tego potrzeba dla spraw publicznych, muszą ze sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewki, gładyszki w zaloty się nie puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze, trzymający straż w bramie, którzy wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

— Polityczny to pan, książę, — rzekł Zagłoba, — że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, aż umarła ze zmartwienia... Ale czemu to Szkoty z warty nie schodzą? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoś w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

— To dragony Ganchofa, poznaję; — rzekł Wołodyjowski — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od księdza biskupa Żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekaj waść, już są.

— Dwie karety w pośrodku.

— Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.

— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierwej Wołodyjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

— Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych z cudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, z pod których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił śpiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

— Co za djabły? — pytał Zagłoba.

— Nie znam ich, nigdy nie widziałem! — odrzekł Wołodyjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążać dziedziniec, by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni zaś zatrzymali się przed bramą.

Wołodyjowski poznał dowodzącego nimi oficera.

— Tokarzewicz!— zakrzyknął— a bywaj-no waszmość!

— Czołem, mości pułkowniku!

— A jakich to szołdrów wieziecie?

— To Szwedzi.

— Szwedzi?

— Tak jest i znaczni ludzie. Ten gruby, to hrabia Loewenhaupt, a ów cieńszy, to Benedykt Shitte baron von Duderhoff.

— Duderhoff?! — rzekł Zagłoba.

— A czego oni tutaj chcą? — pytał pan Wołodyjowski.

— Bóg ich wie! — odpowiedział oficer. — My ich od Birż eskortujem. Pewnie paktować z naszym księciem przyjechali, bo tam w Birżach słyszeliśmy, że książę wielkie wojsko zbiera i że ma Inflanty najechać.

— Ha, szelmy! tchórz was oblatuje! — wołał Za-

głoba. — To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Radziwiłłowi, by was w Inflanty nie połechtał. Poczekajcie! będziecie zmykać do waszych Duderhoffów, aż wam pończochy opadną! Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Radziwiłł!

— Niech żyje — powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.

— Defensor patriae! Obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!

Uczyniło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba, skoczył na wystający cokół bramy i począł wołać:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem, żem jest stary zbarażczyk, który Burłaja, największego hetmana po Chmielnickim, tą oto starą ręką usiekł; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury macał albo cielęta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam.

— Wielki to rycerz! — ozwały się liczne głosy. — Niemasz w Rzeczypospolitej większego!... Słuchajcie!

Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku; lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać, albo ręce wtył założywszy, nad żniwakami stać lub dziewki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi i kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus jest znane.

— A co to za kur tak górnie pieje? — spytał nagle jakiś głos.

— Nie przerywaj! bodaj cię zabito! — wołali inni.

Lecz Zagłoba dosłyszał.

— Wybaczcie waćpanowie temu kogutkowi! — zakrzyknął — bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant cofał się prędzej poza tłum, aby ujść szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

— Wracam do materji! — mówił Zagłoba. — Owóż, repeto, należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, mości panowie, aby razem z wami oponować się hostibus, w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stanie, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten nie godzien jej miłości. Ja stary idę, niech się dzieje wola Boża, a jeśli zginąć przyjdzie, tedy ostatnim tchem będę wołał: na Szweda! panowie bracia! na Szweda!... Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędzej popuścimy szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyżeniem!...

— My i bez przysiąg na to gotowi! — zawołały liczne głosy. — Pójdziem, gdzie nas nasz hetman książę poprowadzi; zajedziem gdzie potrzeba!

— Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków przyjechało w złocistej karecie. Wiedzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrać. Będą za nim po komnatach chodzić i w łokcie go całować, by im dał pokój. Ale książę, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z paktów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!!

— Wojna! wojna! — powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

— Lecz że i wódz — mówił dalej Zagłoba — tem śmielej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mości panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdźmy pod pańskie okna zakrzyknąć: Hajże na Szweda! Za mną, mości panowie!

To rzekłszy, zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim i tak przyszli pod same okna, czyniąc gwar coraz większy, który wkońcu zlał się w jeden olbrzymi okrzyk:

— Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wen-

deński, zmieszany bardzo, za nim Ganchof, pułkownik rajtarów książęcych i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

— Na Boga, — mówił pan Korf, — tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie nie wiecie, jakeście się nie w porę z waszemi okrzykami wybrali. Jakże to możecie posłom zniewagi czynić, przykład niekarności dawać! Kto was do tego pobudził?

— Ja! — odrzekł Zagłoba. — Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowiśmy przy nim wytrwać.

— Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale już się rozejdźcie. Rozwagi, mości panowie! Na żywy Bóg, rozwagi, bo ojczyznę doreszty pogrążycie! Niedźwiedzią przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważa.

— Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paktować!

— Cieszy mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niezadługo, bogdaj, że i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Źle się bić o pustym brzuchu.

— Prawda, jako żywo! — zawołał pierwszy pan Zagłoba.

— Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymenta, to nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na czele — pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganchofem udali się do księcia, który siedział na naradzie z posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i z panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaninem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.

— Kto tam był sprawcą tej wrzawy? — pytał książę, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.

— To ów szlachcic świeżo przybyły, sławny pan Zagłoba! — odpowiedział wojewoda wendeński.

— Mężny to rycerz, — odparł książę, — ale za wcześnie mi się rządzić zaczyna.

To rzekłszy, skinął na pułkownika Ganchofa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba tymczasem rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając przy sobie panów Skrzetuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił zcicha:

— A co, amici, ledwiem się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczem posłów, bo się na nasze suffragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor chodzi. Czegożeś tak stanął, panie Michale, jak skamieniały i oczy utkwiłeś w oną kolaskę przy bramie?

— To ona! — rzekł, ruszając wąsikami pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama!

— Kto taki?

— Billewiczówna...

— Ta, która ci dała rekuzę?

— Tak jest. Patrzcie waszmościowie, patrzcie! Nie zmarniećże tu człeku od żałości?

— A poczekajcie no! — rzekł Zagłoba — trzeba się przyjrzeć.

Kolaska tymczasem zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwiejącym wąsem, a obok niego panna Aleksandra; piękna jak zawsze, spokojna i poważna.

Pan Michał utkwił w nią wzrok rozżalony i skłonił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł, spoglądając na jej delikatne, szlachetne rysy:

— Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyznaję, że gładka, ale ja wolę takie, co to i zrazu nie poznasz: armata, czy białogłowa?

— Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? — spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

— Jakże nie wiem! — odparł szlachcic — to pan Tomasz Billewicz, miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.

ROZDZIAŁ XIII.

Książę nie pokazał się tego dnia szlachcie aż do wieczora, obiadował bowiem z posłami i kilku dygnitarzami, z którymi poprzednio naradę był składał. Przyszły jednak rozkazy do pułkowników, żeby nadworne pułki radziwiłłowskie, a zwłaszcza regimenty piechoty pod cudzoziemskimi oficerami, stały wpogotowiu. W powietrzu pachniało prochem. Zamek lubo nie obronny, otoczony był wojskiem, jak gdyby pod jego murami miano bitwę stoczyć. Spodziewano się pochodu najpóźniej na jutrzejszy ranek i były tego widome oznaki, niezliczona bowiem czeladź książęca zajęta była ładowaniem na wozy broni, kosztownych sprzętów i książęcego skarbca.

Harasimowicz opowiadał szlachcie, że wozy pójdą do Tykocina na Podlasie, bo niebezpiecznieby było, aby skarbiec zostawał w nieobronnym kiejdańskim zamku. Przygotowywano i rekwizyta wojenne, które miały iść za wojskiem.

Rozeszły się wieści, że hetman polny Gosiewski dlatego został aresztowany, że nie chciał połączyć swych chorągwi, stojących w Trokach, z radziwiłłowskiemi, przeto na jawną zgubę całą wyprawę wystawiał. Zresztą przygotowania do pochodu, ruch wojsk, turkot armat, wytaczanych z zamkowego arsenału i ów rozgardjasz towarzyszący zawsze pierwszym chwilom wojennych wypraw, odwrócił uwagę w inną stronę i kazał zapomnieć rycerstwu o aresztowaniu pana Gosiewskiego i kawalera Judyckiego.

Obiadująca w olbrzymich dolnych salach oficyn

szlachta, o niczem nie rozprawiała, jeno o wojnie, o pożarze Wilna, które już dziesięć dni gorzało, coraz sroższym paląc się pożarem, o wieściach z Warszawy, o postępach Szwedów i o Szwedach samych, przeciw którym, jako przeciw wiarołomcom, napadającym sąsiada wbrew traktatowi mającemu jeszcze na sześć lat siłę, burzyły się serca, umysły i wzrastała w duszach zawziętość. Wieści o szybkich postępach, o kapitulacji Ujścia, zalaniu Wielkopolski wraz ze wszystkiemi miastami, o grożącem najściu Mazowsza i nieuniknionem wzięciu Warszawy, nietylko nie budziły trwogi, ale przeciwnie podniecały odwagę i ochotę do boju. Działo się to dlatego, że jasne już były dla wszystkich przyczyny tego szwedzkiego powodzenia. Oto dotychczas nie zetknęli się jeszcze ani razu z wojskiem, ani z wodzem prawdziwym. Radziwiłł był pierwszym wojownikiem z rzemiosła, z którym mieli się zmierzyć, a który tymczasem wzbudzał absolutną ufność w swe zdolności wojenne w zebranej szlachcie, zwłaszcza, że i pułkownicy jego zaręczali, iż pobiją Szwedów w otwartem polu.

— Nie może być inaczej! — mówił pan Michał Stankiewicz, stary i doświadczony żołnierz. — Pamiętam wojny dawniejsze i wiem, że bronili się zawsze w zamkach, w warownych obozach, z za szańczyków, nigdy nie śmieli stawić się nam w otwartem polu, bo się jazdy okrutnie bali, a gdzie dufając w siłę wystąpili, tam słuszne otrzymali ćwiczenie. Nie wiktorja to dała w ich ręce Wielkopolskę, ale zdrada i pospolitego ruszenia niedołęstwo.

— Tak jest! — rzecze pan Zagłoba. — Mdły to naród, bo ziemia tam okrutnie nieurodzajna i chleba nie mają, bo jeno szyszki sosnowe mielą, z takiej to mąki podpłomyki czyniąc, które żywicą śmierdzą. Inni nad morzem chodzą i co tylko fala wyrzuci, to żrą, jeszcze się z sobą o owe specjały bijąc. Hołota tam okrutna, dlatego niemasz narodu na cudze łapczywszego, bo nawet Tatarzy końskiego miesa ad libitum mają, a oni czasem po roku mięsa nie

widują i ciągle głodem przymierają, chyba, że połów ryb zdarzy się obfity.

Tu Zagłoba zwrócił się do pana Stankiewicza:

— A waszmość to kiedy ze Szwedami się zapoznał?

— Pod księciem Krzysztofem, ojcem teraźniejszego pana hetmana.

— A ja pod panem Koniecpolskim, ojcem dzisiejszego chorążego. Srodześmy kilkakroć Gustawa Adolfa w Prusach porazili i jeńców niemałośmy nabrali; tamem ich nawylot przeznał i wszystkie ich sposoby. Nacudowali się nad nimi nasi chłopcy niemało, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że Szwedzi, jako to naród ustawicznie w wodzie brodzący i z morza największe ciągnący intraty, nurkowie są exquisitissimi. Tośmy się im popisywać kazali i co waszmościowie na to powiecie: rzucisz szelmę w jedną przerębel, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma...

— Na Boga, co waszmość mówisz?!

— Niech tu trupem padnę, jeślim tego mało sto razy na własne oczy nie widział i innych dziwnych ich obyczajów. Pamiętam i to, że tak się na pruskim chlebie spaśli, iż potem wracać nie chcieli. Słusznie jegomość pan Stankiewicz mówi, że nietędzy z nich żołnierze. Piechotę mają jaką taką, ale jazdę, Boże się pożal, bo koni w ich ojczyźnie niemasz i zmłodu nie mogą do jazdy nawyknąć.

— Podobnoć najpierw nie na nich pójdziemy, — mówił pan Szczyt, — jeno za Wilno pomścić?

— Tak jest. Sam to księciu radziłem, gdy się pytał, co w tej materji myślę — odparł Zagłoba. — Ale skończywszy z jednymi, pójdziemy wnet na drugich. Muszą się tam ci posełkowie pocić.

— Politycznie ich przyjmują, — rzekł pan Załęski, — ale nic chudziątka nie wskórają, a najlepszy dowód rozkazy wojsku dane.

— Miły Boże, miły Boże! — mówił pan Twarkowski, sędzia rosieński — jak to wraz z niebezpieczeństwy ochoty

przybywa... Jużeśmy mało nie zdesperowali, z jednym nieprzyjacielem do czynienia mając, a teraz nam na obydwóch.

— Nie może być inaczej — odparł Stankiewicz. — Nieraz to bywa, że się pozwolisz bić póty, póki ci cierpliwości nie zbraknie, a potem ni stąd, ni zowąd, znajdzie się i wigor i fantazja. Małośmy to ucierpieli, mało przenieśli?!... Spuszczaliśmy się na króla i pospolite ruszenie koronne, na własne siły nie licząc, aż wreszcie mamy wóz i przewóz, trzeba albo obydwóch bić, albo zginąć z kretesem...

— Bóg nam pomoże! Dosyć tego zwlekania!

— Sztych nam do gardła przyłożyli!

— Przyłóżmy im i my! Pokażemy koroniarczykom, jacy to tu żołnierze! Nie będzie u nas Ujścia, jako Bóg w niebie!

I w miarę kielichów rozgrzewały się czupryny i rosły humory wojenne. Tak nad brzegiem przepaści ostatni wysiłek częstokroć o ocaleniu stanowi. Zrozumiały to te tłumy żołnierzy i owa szlachta, którą tak niedawno jeszcze Jan Kazimierz do Grodna wzywał przez rozpaczliwe uniwersały na pospolite ruszenie. Teraz wszystkie serca, wszystkie umysły zwrócone były ku Radziwiłłowi; wszystkie usta powtarzały to groźne imię, z którem doniedawna zawsze zwycięstwo szło w parze. Jakoż od niego tylko zależało zebrać rozproszone, poruszyć uśpione siły kraju i stanąć na czele potęgi, dostatecznej do pomyślnego rozstrzygnięcia obydwóch wojen.

Po obiedzie wzywano do księcia kolejno pułkowników: Mirskiego, który w pancernej hetmańskiej chorągwi porucznikował, a po nim Stankiewicza, Ganchofa, Charłampa, Wołodyjowskiego i Sołłohuba. Zdziwili się trochę starzy żołnierze, że ich pojedyńczo nie wspólnie, na naradę zapraszają; ale miłe to było zdziwienie, każdy bowiem odchodził z jakąś nagrodą, z jakimś widocznym dowodem książęcego fawory; wzamian zaś żądał tylko książę wierności i ufności, które i tak wszyscy z duszy serca mu ofiarowali.

Wypytywał się też pan hetman troskliwie, czy pan Kmicic nie wrócił i kazał sobie dać znać, gdy wróci.

Jakoż wrócił, ale dopiero późnym wieczorem, gdy już sale były oświetlone i goście poczęli się zbierać. W cekhauzie, dokąd przyszedł się przebrać, zastał pana Wołodyjowskiego i poznajomił się z resztą kompanji.

— Okrutniem rad, że waszmości widzę i sławnych przyjaciół! — rzekł, wstrząsając ręką małego rycerza. — Jakobym brata zobaczył! Możesz w to waszmość wierzyć, bo ja symulować nie umiem. Prawda, żeś mnie szpetnie przez łeb przejechał, aleś mnie potem na nogi postawił, czego do śmierci nie zapomnę. Przy wszystkich to mówię, że gdyby nie waszmość, tobym się teraz za kratą kołatał. Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili. Kto inaczej myśli, ten kiep i niech mnie djabeł porwie, jeśli mu uszów nie obetnę.

— Daj waść pokój.

— W ogień za waćpanem pójdę, bodajem przepadł! Wychodź, kto nie wierzy!

Tu pan Andrzej począł toczyć wyzywającym wzrokiem po oficerach, ale nikt nie zaprzeczył, bo zresztą wszyscy lubili i szanowali pana Michała; jeno Zagłoba rzekł:

— Siarczysty jakiś żołnierz, daj go katu! Widzi mi się, że srodze polubię waćpana za ten afekt do pana Michała, bo mnie się dopiero spytać, ile on wart.

— Więcej niż my wszyscy! — odrzekł Kmicic ze zwykłą sobie porywczością.

Poczem spojrzał na panów Skrzetuskich, na Zagłobę i dodał:

— Przepraszam waszmościów, nie chcę nikomu ubliżyć, bo wiem, żeście cnotliwi ludzie i wielcy rycerze... Nie gniewajcie się, bo jabym z serca chciał na przyjaźń waćpaństwa zasłużyć.

— Nic nie szkodzi: — rzekł Jan Skrzetuski — co w sercu, to w gębie.

— Daj-no waćpan pyska! — rzekł pan Zagłoba.

Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać!

I padli sobie w objęcia. Poczem pan Kmicic zakrzyknął:

— Musimy dziś podpić, nie może być inaczej!

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać! — rzekł jak echo Zagłoba.

— Wymkniemy się wcześnie do cekhauzu, a o napitkach pomyślę.

Pan Michał począł ruszać mocno wąsikami.

— Nie będziesz ty się miał ochoty wymykać, — pomyślał sobie w duchu, spoglądając na Kmicica, — jeno zobaczysz, kto tam na pokojach dzisiaj będzie...

I już usta otwierał, aby powiedzieć Kmicicowi, że pan miecznik rosieński z Oleńką przyjechali do Kiejdan, ale zrobiło mu się jakoś mdło na sercu, więc zwrócił rozmowę.

— A waścina chorągiew gdzie jest? — pytał.

— Tu. Gotowiuśka! Był u mnie Harasimowicz i przyniósł mi rozkaz od księcia, by o północku ludzie byli na koniach. Pytałem go, czy to mamy wszyscy ruszać, powiedział: nie!... Nie rozumiem, co to znaczy. Z innych oficerów jedni mają ten sam rozkaz, inni nie mają. Ale piechota cudzoziemska wszystka otrzymała.

— Może część wojsk dziś pójdzie na noc, część jutro — rzekł Jan Skrzetuski.

— W każdym razie ja tu z waszmościami podpiję, a chorągiew niech sobie rusza... Potem w godzinę ją dogonię.

W tej chwili wpadł Harasimowicz.

— Jaśnie wielmożny chorąży orszański! — wołał, kłaniając się we drzwiach.

— A co? czy się pali? jestem! — rzekł Kmicic.

— Do księcia pana! do księcia pana!

— Zaraz, jeno szaty zawdzieję. Chłopię! kontusz i pas, bo zetnę.

Pachołek w mig podał resztę ubioru i w kilka minut później pan Kmicic, strojny jak na wesele, ruszył do księcia. Łuna od niego biła, tak wydał się urodziwy. Żupan

miał z lamy srebrnej, dzierzgany w rzuty gwieździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernej, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec. Srebrzysta szabla, usiana szafirami, zwieszała się u pasa na jedwabnych rapciach; za pas zaś zatknął i buzdygan rotmistrzowski, mający powagę osoby oznaczać. Dziwnie zdobił ten strój młodego rycerza i piękniejszego męża trudnoby było w całym tym niezmiernym tłumie, zebranym w Kiejdanach, znaleźć.

Pan Michał westchnął, patrząc na niego i gdy Kmicic zniknął za drzwiami cekhauzu, rzekł do pana Zagłoby:

— Z takim przy białogłowie ani rady!

— Ujmij mi jeno trzydzieści lat! — rzekł Zagłoba.

Książę już był także ubrany, gdy wszedł Kmicic i właśnie szatny, w towarzystwie dwóch murzynów, wyszedł był z komnaty. Zostali sam na sam.

— Daj ci Boże zdrowie, żeś pośpieszył! — rzekł książę.

— Do usług waszej książęcej mości.

— A chorągiew?

— Wedle rozkazu.

— Pewni też to ludzie?

— W ogień, do piekła pójdą!

— To dobrze! Takich ludzi mi potrzeba... i takich, jak ty, na wszystko gotowych... Ciągle to powtarzam, że na nikogo więcej, jak na ciebie, nie liczę.

— Wasza książęca mość, nie mogą się moje zasługi równać z zasługami starych żołnierzy, ale jeśli mamy na nieprzyjaciół ojczyzny ruszyć, tedy, Bóg widzi, nie pozostanę wtyle.

— Nie ujmuję ja starym zasług, — rzekł książę, — chociaż... mogą przyjść takie pericula, tak ciężkie terminy, że i najwierniejsi się zachwieją.

— Niech ten zginie marnie, kto od osoby w. ks. mości w niebezpieczeństwie odstąpi!

Książę spojrzał bystro w twarz Kmicica.

— A ty... nie odstąpisz?...

Młody rycerz zapłonął.

— Wasza książęca mość!...

— Co chcesz mówić!

— Wyspowiadałem się w. ks. mości ze wszystkich grzechów moich i taka ich kupa, że jeno ojcowskiemu sercu w. ks. mości zawdzięczam przebaczenie... Ale w tych wszystkich grzechach jednego niemasz: niewdzięczności.

— Ani wiarołomstwa... Wyspowiadałeś się przede mną, jak przed ojcem, a jam ci nietylko jak ojciec przebaczył, alem cię pokochał, jak syna... którego Bóg mi nie dał i dlatego ciężko mi nieraz na świecie. Bądźże mi przyjacielem!

To rzekłszy książę, wyciągnął rękę, a młody rycerz uchwycił ją i bez wahania do ust przycisnął.

Milczeli obaj przez długą chwilę; nagle książę utkwił oczy w oczach Kmicia i rzekł:

— Billewiczówna tu jest!

— Kmicic pobladł i począł jąkać coś niezrozumiale.

— Umyślniem po nią posłał, żeby się ta niezgoda między wami skończyła. Zobaczysz ją zaraz, bo jej żałoba po dziadzie już wyszła. Dziś także, choć Bóg widzi, że głowa popękała mi od roboty, mówiłem z panem miecznikiem rosieńskim.

Kmicic porwał się za głowę.

— Czem ja się w. ks. mości odpłacę? Czem ja odpłacę?...

— Powiedziałem wyraźnie panu miecznikowi, że taka moja wola, abyście się najprędzej pobrali i nie będzie ci przeciwny. Przykazałem mu też, aby dziewkę zwolna do tego przygotował. Mamy czas. Od ciebie wszystko zależy, a ja szczęśliwy będę, jeśli cię nagroda z rąk moich dojdzie i daj Boże doczekać wiele innych, boś ty powinien pójść wysoko... Grzeszyłeś, boś młody, aleś już sławę na polu zdobył niepoślednią... i wszyscy młodzi gotowi wszędy iść

za tobą. Dlaboga, powinieneś pójść wysoko! Nie dla takiego to rodu, jak twój, urzędy powiatowe... Zali wiesz, żeś ty Kiszków krewny, a z Kiszczanki ja się rodzę... Trzeba ci jeno statku, na co ożenek najlepsza rzecz. Bierzże oną dziewczynę, kiedy ci do serca przypadła i pamiętaj, kto ci ją daje.

— Wasza książęca mość, ja chyba oszaleję!... Życie, krew moja do w. ks. mości należą!... Co mam czynić, aby się wywdzięczyć? co? Mów w. ks. mość! rozkazuj!

— Dobrem za dobro mi odpłać... Miej wiarę we mnie, miej ufność, że co czynię, to dla dobra publicznego uczynię. Nie odstępuj mnie, gdy będziesz widział zdradę i odstępstwo innych, gdy się złość wzmoże, gdy mnie samego...

Tu książę urwał nagle.

— Przysięgam — rzekł z zapałem Kmicic — i parol kawalerski daję do ostatniego tchnienia stać przy osobie waszej książęcej mości, mego wodza, ojca i dobrodzieja!

To rzekłszy Kmicic, spojrzał oczyma pełnemi ognia na księcia i aż strwożył się zmianą, która nagle zaszła na jego twarzy. Twarz ta była czerwona, żyły na niej nabrały, krople potu gęsto osiadły na wyniosłem czole, a oczy rzucały blask niezwykły.

— Co waszej książęcej mości jest? — pytał niespokojnie rycerz.

— Nic! nic!...

Radziwiłł wstał, ruszył śpiesznym krokiem do klęcznika i zerwawszy z niego krucyfiks, począł mówić gwałtownym, przytłumionym głosem:

— Na ten krzyż przysięgnij, że mnie nie opuścisz do śmierci!...

Mimo całej gotowości i zapału, Kmicic spoglądał przez chwilę na niego ze zdumieniem.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgnij!... — nalegał hetman.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgam! — rzekł Kmicic, kładąc palce na krucyfiksie.

— Amen! — dodał uroczystym głosem książę.

Echo wysokiej komnaty powtórzyło gdzieś pod sklepieniem: „amen“ i nastała długa cisza. Słychać było tylko oddech potężnej radziwiłłowskiej piersi. Kmicic nie odrywał od hetmana zdumionych oczu.

— Teraz jużeś mój... — rzekł wreszcie książę.

— Zawszem do waszej książęcej mości należał, — odparł skwapliwie młody rycerz, — ale racz mi wasza ks. mość powiedzieć, racz mnie objaśnić, co się dzieje? Dlaczego wasza ks. mość wątpiłeś o tem? Czyli grozi co dostojnej osobie? Aza zdrada jaka, jakowe machinacje zostały odkryte?

— Zbliża się czas próby, — rzekł ponuro książę, — a co do nieprzyjaciół, nie wiesz-li to, że pan Gosiewski, pan Judycki i pan wojewoda witebski radziby mnie na dno przepaści pogrążyć. Tak jest! Wzmaga się nieprzyjaciel domu mego, szerzy się zdrada i grożą klęski publiczne. Dlatego mówię: zbliża się czas próby...

Kmicic zamilkł, ale ostatnie słowa księcia nie rozproszyły ciemności, jakie obsiadły jego umysł i próżno pytał sam siebie, co może grozić w tej chwili potężnemu Radziwiłłowi? Wszakże stał na czele większych sił, niż kiedykolwiek. W samych Kiejdanach i w okolicy stało tyle wojska, że gdyby był książę miał podobną potęgę, zanim pod Szkłów ruszył, los całej wojny wypadłby niezawodnie inaczej.

Gosiewski i Judycki byli mu wprawdzie niechętni, ale obydwóch miał w ręku i pod wartą, a co do wojewody witebskiego, zbyt to był cnotliwy człowiek, zbyt dobry obywatel, aby w przeddzień nowej wyprawy przeciw nieprzyjaciołom można się było obawiać z jego strony jakichkolwiek przeszkód i machinacyj.

— Bóg widzi, nic nie rozumiem! — zakrzyknął Kmicic, nie umiejący wogóle utrzymać swoich myśli.

— Dziś jeszcze zrozumiesz wszystko — odparł spokojnie Radziwiłł. — A teraz pójdźmy do sali.

I wziąwszy pod rękę młodego pułkownika, skierował się z nim ku drzwiom.

Przeszli kilka komnat. Zdaleka, z olbrzymiej sali dochodziły dźwięki kapeli, której przewodził Francuz, sprowadzony umyślnie przez księcia Bogusława. Grano też menueta, którego wówczas na dworze francuskim tańcowywano. Łagodne tony mieszały się z gwarem licznych głosów ludzkich. Książę Radziwiłł zatrzymał się i słuchał.

— Daj Boże, — rzekł po chwili, — aby ci wszyscy goście, których pod dach przyjmuję, nie przeszli jutro do moich nieprzyjaciół.

— Mości książę, — odparł Kmicic, — mam nadzieję, że niemasz między nimi szwedzkich stronników...

Radziwiłł drgnął i wstrzymał się nagle.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Nic, mości książę, jeno, że tam zacni żołnierze się weselą.

— Chodźmy... Czas pokaże i Bóg osądzi, kto zacny... Chodźmy!

Przy samych drzwiach stało dwunastu paziów, cudownych chłopiąt, przybranych w pióra i aksamity. Ujrzawszy hetmana, sformowali się w dwa szeregi, książę zaś zbliżywszy się, pytał:

— Jej książęca mość weszła już na salę?

— Tak jest, mości książę! — odpowiedzieli chłopcy.

— A ichmościowie posłowie?

— Są także.

— Otwieraj

Obie połowy drzwi rozwarły się w mgnieniu oka, potok światła lunął przez nie i oświecił olbrzymią postać hetmana, który mając za sobą pana Kmicica i paziów, wszedł na podniesienie, na którem krzesła dla przedniejszych gości były zastawione.

Wnet ruch uczynił się w sali, wszystkie oczy zwróciły się na księcia, potem jeden okrzyk wyrwał się z setek piersi rycerskich:

— Niech żyje Radziwiłł! Niech żyje! Niech nam hetmani! Niech żyje!

Książę kłaniał się głową i ręką, następnie jął witać gości zebranych na estradzie, którzy podnieśli się w chwili, gdy wchodził. Byli tam między znakomitszymi, oprócz samej księżnej, dwaj posłowie szwedzcy, poseł moskiewski, pan wojewoda wendeński, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, starosta żmudzki, szwagier hetmański, jeden młody Pac, oberszt Ganchof, pułkownik Mirski, Weissenhoff poseł księcia kurlandzkiego i kilka pań z otoczenia księżnej.

Pan hetman, jako przystało na gościnnego gospodarza, począł powitania od posłów, z którymi kilkanaście słów uprzejmych zamienił, poczem witał innych, a skończywszy, zasiadł na krześle z gronostajowym baldachimem i spoglądał na salę, w której jeszcze brzmiały okrzyki:

— Niech żyje!... Niech nam hetmani!... Niech żyje!...

Kmicic, ukryty za baldachimem, patrzył również na tłumy. Wzrok jego przeskakiwał z twarzy na twarz, szukając wśród nich ukochanych rysów tej, która w tej chwili zajmowała całą duszę i serce rycerza. Serce biło mu jak młotem...

— Ona tu jest! Za chwilę ją ujrzę, przemówię do niej!... powtarzał sobie w myśli... I szukał, szukał coraz chciwiej, coraz niespokojniej. — Ot, tam! ponad piórami wachlarza widać jakieś brwi czarne, białe czoło i jasne włosy. To ona!

Kmicic dech wstrzymuje, jakby w obawie, żeby nie spłoszyć zjawiska, ale tymczasem poruszają się pióra, twarz się odsłania — nie! to nie Oleńka, to nie ta miła i najmilejsza. Wzrok leci dalej, obejmuje wdzięczne postacie, ślizga się po piórach, atłasach, rozkwitłych jak kwiaty twarzach i łudzi się co chwila. Nie ona i nie ona! Aż wreszcie, hen! w głębi, wedle framugi okna, zamajaczyło coś białego i rycerzowi pociemniało w oczach — to Oleńka, to ta miła i najmilejsza...

Kapela poczyna grać na nowo, tłumy przechodzą, krócą się damy, migocą strojni kawalerowie, a on jak ślepy i głuchy nic nie widzi, tylko ją i patrzy tak chciwie, jakby ją pierwszy raz widział. Nibyto ta sama Oleńka z Wodoktów, a inna. W tej ogromnej sali i w tym tłumie wydaje się jakaś mniejsza i twarzyczkę ma drobniejszą, rzekłbyś dziecinną. Ot! wziąłbyś całą na ręce i przytulił! A przecie znowu ta sama, choć inna: też same to rysy, te słodkie usta, takież rzęsy, cień rzucające na policzki, i to czoło jasne, spokojne, kochane... Tu wspomnienia jak błyskawice poczynają się przesuwać przez głowę pana Andrzeja: owa czeladna w Wodoktach, gdzie ją ujrzał po raz pierwszy i te ciche komnatki, w których przesiadywali razem. Co za słodycz, choćby tylko wspominać!... A ta sanna do Mitrunów, podczas której on ją całował!... Potem już ludzie poczęli ich rozdzielać i burzyć ją przeciw niemu.

— A żeby to pioruny zatrzasły! — zakrzyknął w duszy pan Kmicic. — Co ja miałem i com ja utracił! Jaka ona była bliska, a jaka teraz daleka!

Siedzi oto zdala, jak obca, ani wie, że on tu jest. — I gniew, ale zarazem żal niezmierny, pochwycił pana Andrzeja, żal, dla którego innych słów nie znalazł, jeno wykrzyk w duszy, który przez usta nie przeszedł:

— Ej, ty! Oleńka! ej, ty!...

Nieraz pan Andrzej wściekał się na siebie za swoje dawne postępki, że miewał ochotę kazać się ludziom własnym rozciągnąć i sto bizunów wyliczyć, ale nigdy nie wpadł w taki gniew, jak teraz, gdy ją znów ujrzał po długiem niewidzeniu, cudniejszą jeszcze niż zwykle, cudniejszą nawet, niż sobie wyobrażał. W tej chwili chciałby się pastwić nad sobą, ale że był między ludźmi, w dostojnem towarzystwie, więc tylko zęby zaciskał i jakoby chcąc sobie umyślnie jeszcze większy ból zadać, powtarzał w duchu:

— Dobrze ci tak, kpie! Dobrze ci!

Tymczasem dźwięki kapeli umilkły znowu i zamiast nich, usłyszał pan Andrzej głos hetmana:

— Chodź za mną!

Kmicic zbudził się jakby ze snu.

Książę zeszedł ze wzniesienia i wmieszał się między gości. Na twarzy miał uśmiech łagodny i dobrotliwy, który zdawał się jeszcze podnosić majestat jego postaci. Był to ten sam wspaniały pan, który czasu swego przyjmując królową Marję Ludwikę w Nieporęcie, dziwił, zdumiewał i gasił dworaków francuskich nietylko przepychem, ale i dwornością swych obyczajów; ten sam, o którym z takiem uwielbieniem pisał Jan Laboureur w relacji ze swej podróży. Teraz więc zatrzymywał się co chwila przy poważniejszych matronach, przy zacniejszej szlachcie i pułkownikach, mając dla każdego z gości jakieś łaskawe słowo, dziwiąc obecnych swą pamięcią i jednając w mgnieniu oka wszystkie serca. Oczy obecnych biegały za nim, gdzie się tylko poruszył, on zaś zwolna zbliżył się do pana miecznika rosieńskiego, Billewicza i rzekł:

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, żeś przybył, chociaż miałbym się prawo i gniewać. Nie o sto mil Billewicze od Kiejdan, a z ciebie rara avis pod moim dachem.

— Wasza ks. mość, — odpowiedział pan miecznik, kłaniając się nisko, — krzywdę ojczyźnie czyni, kto waszej ks. mości czas zabiera.

— A ja już myślałem się zemścić i najechać cię w Billewiczach, a przecie myślę, że przyjąłbyś wdzięcznie starego kompana obozowego?

Słysząc to, pan miecznik aż zarumienił się ze szczęścią, a książę mówił dalej:

— Jeno czasu, czasu zawsze nie staje!... Ale jak krewniaczkę, wnuczkę nieboszczyka pana Herakljusza, będziesz zamąż wydawał, to już na weselisko koniecznie zjadę, bom wam to obydwom powinien.

— Dajże Boże dziewce jak najprędzej! — zawołał pan miecznik.

— Tymczasem przedstawiam ci pana Kmicica, chorążego orszańskiego, z tych Kmiciców, co to Kiszkom, a przez Kiszków i Radziwiłłom krewni. Musiałeś to nazwisko od Herakljusza słyszeć, bo on Kmiciców jak braci kochał...

— Czołem, czołem! — powtórzył pan miecznik, któremu zaimponowała nieco wielkość rodu młodego kawalera, głoszona przez samego Radziwiłła.

— Witam pana miecznika dobrodzieja i służbie się jego polecam — rzekł śmiało i nie bez pewnej dumy pan Andrzej. — Pan pułkownik Herakljusz był mi ojcem i dobrodziejem, a choć się później popsowała jego robota, to jednak nie przestałem miłować wszystkich Billewiczów, jakoby własna moja krew w nich płynęła.

— Szczególnie — rzekł książę, kładąc poufale rękę na ramieniu młodzieńca — nie przestał miłować jednej Billewiczówny, z czem mi się dawno zwierzył.

— I każdemu do oczu to powtórzę! — rzekł zapalczywie Kmicic.

— Powoli, powoli! — odpowiedział książę. — To widzisz, mości mieczniku, z siarki i ognia jest kawaler, przez co i nabroił trochę; ale że młody i pod moją szczególniejszą jest protekcją, przeto tuszę, że jak we dwóch zaczniem błagać, tak i otrzymamy zdjęcie kondemnaty przed onym wdzięcznym trybunałem.

— Wasza książęca mość uczyni, co zechce! — odrzekł pan miecznik. — Nieszczęsna dziewka musi zakrzyknąć, jak ona kapłanka pogańska, Aleksandrowi: „Któż ci się oprze!“

— A my, jako ów Macedończyk, poprzestaniem na tej wróżbie — mówił, śmiejąc się książę. — Ale dość tego! Prowadźże nas teraz do swej krewniaczki, bo i ja rad ją obaczę. Niechże się naprawi ta robota pana Herakljusza, która się popsowała.

— Służę w. ks. mości!... Tam oto dziewczyna siedzi pod opieką pani Woyniłłowiczowej, naszej krewnej. Jeno błagam o przebaczenie, jeśli się skonfunduje, bom też jeszcze nie miał czasu jej ostrzec.

Przewidywania pana miecznika były słuszne. Na szczęście, Oleńka nie w tej dopiero chwili ujrzała pana Andrzeja przy boku hetmańskim, więc mogła nieco przyjść do siebie, ale narazie o mało nie opuściła jej przytomność. Pobladła jak płótno, nogi zadrżały pod nią i patrzyła tak na młodego rycerza, jakby patrzyła na ducha, zjawiającego się z tamtego świata. I długo oczom nie chciała wierzyć. Toż ona sobie wyobrażała, że ów nieszczęśnik albo tuła się gdzieś po lasach, bez dachu nad głową, opuszczony od wszystkich, ścigany jak dziki zwierz przez sprawiedliwość; albo zamknięty w wieży, spogląda rozpaczliwym wzrokiem przez żelazną kratę na wesoły świat boży. Bóg jeden wiedział, jak straszny nieraz żal gryzł jej serce i oczy za tym straceńcem; Bóg jeden mógł policzyć łzy, które w samotności nad jego losem, tak okrutnym, choć tak zasłużonym, wylała — a tymczasem on znalazł się w Kiejdanach, wolny, przy boku hetmańskim, dumny i strojny w łamy i aksamity, z pułkownikowskim buzdyganem za pasem, ze wzniesionem czołem, z rozkazującą, hardą twarzą junacką i sam hetman wielki, sam Radziwiłł, kładł mu rękę poufale na ramieniu. Dziwne a sprzeczne uczucia splotły się naraz w sercu dziewczyny; więc jakaś wielka ulga, jakby jej kto brzemię zdjął z ramion; więc jakiś żal, że tyle litości i zmartwienia poszło napróżno; więc i ten zawód, jakiego doznaje każda uczciwa dusza na widok bezkarności zupełnej za ciężkie grzechy i występki; więc i radość i poczucie własnej niemocy i graniczący z przestrachem podziw dla tego junaka, który potrafił z takiej toni wypłynąć.

Tymczasem książę, miecznik i Kmicic skończyli rozmowę i poczęli się zbliżać. Dziewczyna nakryła oczy powiekami i podniosła tak ramiona, jak ptak skrzydła, kiedy chce głowę między niemi ukryć. Była zupełnie pewna, że idą ku niej. Nie patrząc, widziała ich, czuła, że są bliżej i bliżej, że już nadchodzą, że zatrzymali się. Tak była tego pewna, że nie podnosząc powiek, wstała nagle i złożyła głęboki ukłon księciu.

On zaś istotnie stał już przed nią i przemówił:

— Na mękę Pańską!... Teraz się młodemu nie dziwię, bo cudnie to kwiecie rozkwitło... Witam cię, moja panienko, witam z całego serca i duszy kochaną wnuczkę mojego Billewicza. Poznajeszże mnie?

— Poznaję, wasza książęca mość! — odrzekła dziewczyna.

— A jabym cię nie poznał, bom cię jeszcze młódką nierozkwitłą ostatni raz widział, nie w tej ozdobie, w jakiej teraz chodzisz... Podnieś-no jeno one firanki z oczu... Dlaboga! szczęśliwy nurek, który taką perłę wyłowi; nieszczęsny, który ją miał i stracił... Owóż stoi tu przed tobą taki desperat w osobie tego kawalera... Poznajeszże i jego?

— Poznaję — szepnęła Oleńka, nie podnosząc oczu.

— Wielki to grzesznik i do spowiedzi ci go przypropadzam... Zadaj mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie odmawiaj, żeby go desperacja do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła.

Tu książę zwrócił się do pana miecznika i do pani Woyniłłowiczowej.

— Zostawmy młodych, mościwi państwo, bo nie wypada przy spowiedzi asystować, a mnie i moja wiara tego zakazuje.

Po chwili pan Andrzej i Oleńka zostali sami.

Serce jej tłukło się w piersi, jak w gołębiu, nad którym jastrząb zawisnął, a i on był wzruszony. Opuściła go zwykła śmiałość, porywczość i pewność siebie. Przez długi czas milczeli oboje.

Nareszcie on pierwszy ozwał się niskim, przytłumionym głosem:

— Nie spodziewałaś się mnie widzieć, Oleńka?

— Nie — szepnęła dziewczyna.

— Na Boga! gdyby tu Tatar stanął koło ciebie, mniejbyś była trwożna. Nie bójże się! Patrz, ilu tu ludzi. Żadna krzywda nie spotka cię ode mnie. A choćbyśmy sami byli,

nie miałabyś się czego bać, bom sobie zaprzysiągł szanować cię. Miejże ufność we mnie!

Na chwilę podniosła oczy i spojrzała na niego.

— Skąd mam mieć ufność?

— Prawda, grzeszyłem, ale to już minęło i nie powtórzy się więcej... Gdym po owym pojedynku z Wołodyjowskim na łożu leżał bliski śmierci, wtedym sobie powiedział: nie będziesz jej brał przemocą, szablą, ogniem, jeno zacnemi uczynkami na nią zasłużysz i przebaczenie wyjednasz!... Toż i w niej serce nie z kamienia i zawziętość jej przeminie; ujrzy poprawę, to wybaczy!... Więcem sobie zaprzysiągł poprawę i dotrzymam... Zaraz mnie też Bóg pobłogosławił, bo przyjechał Wołodyjowski i przywiózł mi list zapowiedni. Mógł go nie dać, a dał; zacny człowiek! Przez to już i do sądów nie potrzebowałem stawać, bom pod hetmańską inkwizycję przeszedł. Wyspowiadałem się księciu ze wszystkich grzechów, jako ojcu; on zaś nietylko przebaczył, ale obiecał wszystko załagodzić i bronić mnie od nieżyczliwości ludzkiej. Niech mu Bóg błogosławi... Nie będę banitem, Oleńka, z ludźmi się pojednam, sławę odzyszczę, ojczyźnie się zasłużę, krzywdy naprawię... Oleńka! A ty co na to?!... Nie rzekzieszże mi dobrego słowa?

I począł patrzeć na nią pilnie i ręce składać jakby się do niej modlił.

— Mogęż ja wierzyć? — odrzekła dziewczyna.

— Możesz jak mi Bóg miły, powinnaś! — odparł Kmicic. — Patrzaj, że w to uwierzyli i książę hetman i pan Wołodyjowski. Toć wszystkie postępki moje im znane, a uwierzyli... Widzisz!... Czemubyś to ty jedna miała mi nie ufać?

— Bom łzy ludzkie widziała z powodu waćpana wylewane... Bom groby widziała, jeszcze trawą nie porosłe...

— To i porosną, a one łzy sam obetrę.

— Najpierw to waćpan uczyń.

— Daj mi jeno nadzieję, że jak to uczynię, to i ciebie odzyszczę... Dobrze ci mówić: „Najprzód to uczyń". A nuż

ja uczynię, a ty za innego przez ten czas pójdziesz? Boże ratuj! Boże uchowaj od takiej rzeczy, bo chybabym oszalał. Na imię Boskie błagam cię, Oleńka, dajże mi pewność, że cię nie utracę, zanim z tamtą waszą szlachtą do zgody przyjdę. Pamiętasz? samaś mi to napisała, a ja on list chowam i jak mi bardzo na duszy ciężko, to go sobie odczytuję. Niczego więcej nie chcę, tylko mi powtórz, że czekać będziesz, że za innego nie pójdziesz?

— Waćpan wiesz, że mi wedle testamentu uczynić tego nie wolno. Jeno do klasztoru mogę się schronić.

— O, tobyś mnie uczęstowała! Przez Bóg żywy, daj sobie pokój z klasztorem, bo mnie mrowie na samą myśl przechodzi. Dajże pokój Oleńka, a nie, to ci tu przy wszystkich do nóg padnę i będę błagał, abyś tego nie czyniła. Pana Wołodyjowskiego odmówiłaś, wiem, bo sam mi o tem powiadał. On to mnie zachęcał, abym cię dobremi uczynkami zdobył... Ale nacoby się to zdało, gdybyś miała do zakonu wstępować? Powiesz mi, że cnotę dla cnoty trzeba praktykować... a ja ci odpowiem, że miłuję cię jak desperat i nie chcę o niczem więcej wiedzieć. Kiedyś wyjechała z Wodoktów, ledwiem z łoża powstał, jużem cię szukać zaczął. Stawiałem chorągiew na nogi, każdą chwilę miałem zajętą, nie miałem czasu strawy zjeść, nocy przespać, a przeciem szukania nie zaniechał. Tak już przyszło na mnie, że mi bez ciebie ani życia, ani spokoju! Tak się już uczepiło! Nic, tylko wzdychaniami żyłem. Dowiedziałem się wreszcie, żeś u pana miecznika w Billewiczach. To, powiadam ci, pasowałem się z myślami, jakoby z niedźwiedziem: jechać, nie jechać?... Alem nie śmiał jechać, żeby mnie żółcią nie napojono. Powiedziałem sobie wreszcie: nie uczyniłem jeszcze nic dobrego... nie pojadę... Aż książę, ojciec mój kochany, ulitował się nade mną i posłał prosić was do Kiejdan, abym choć oczy swojem kochaniem mógł napełnić... ile że na wojnę ruszamy. Nie żądam, abyś jutro zaraz za mnie szła... Ale bogdaj słowo dobre od ciebie usłyszę, bogdaj się zapewnię, będzie mi lżej... Mojaż

ty duszo jedyna... Nie chcę zginąć, ale w bitwie każdemu może się to przytrafić, bo przecie nie będę się za innych chował... więc mi powinnaś odpuścić, jako się umierającemu odpuszcza.

— Niech waćpana Bóg ochrania i wyprowadzi — odparła dziewczyna miękkim głosem, po którym zaraz poznał pan Andrzej, że słowa jego wywarły skutek.

— Moje ty złoto szczere! Dziękujęć i za to. A nie pójdziesz do klasztoru?

— Jeszcze nie pójdę.

— Bodajże ci Bóg błogosławił!

I jak na wiosnę śniegi tają, tak między nimi poczęła topnieć nieufność i czuli się bliżsi siebie, niż przed chwilą. Serca mieli lżejsze, w oczach im pojaśnało. A przecież ona nic nie obiecała i on miał ten rozum, że niczego narazie nie żądał. Ale czuła to sama, że jej nie wolno, że nie godzi się zamykać mu drogi do poprawy, o której mówił tak szczerze. O jego szczerości nie wątpiła już ani na chwilę, bo to nie był człowiek, którыby coś udawać umiał. Lecz główny powód, dla którego nie odtrąciła go na nowo, dla którego zostawiła mu nadzieję, był ten, że w głębi serca kochała jeszcze tego junaka. Miłość tę przywaliła góra goryczy, rozczarowania i boleści, ale miłość żyła, gotowa zawsze wierzyć i przebaczać bez końca.

— On lepszy od swoich uczynków — myślała dziewczyna — i niema już tych, którzy go do występków popychali; mógłby się chyba z desperacji czego znowu dopuścić, niechże nie desperuje nigdy.

I poczciwe serce uradowało się własnem przebaczeniem. Na jagody Oleńki wystąpiły rumieńce tak świeże, jak róża pod ranną rosą; oczy miały blask słodki a żywy i rzekłbyś: jasność biła od nich na salę. Przechodzili ludzie i dziwili się cudnej parze, bo też takich dwojga paniątek trudno było ze świecą znaleźć w całej tej sali, w której przecież zebrany był kwiat szlachty i szlachcianek.

Oboje przytem, jak gdyby się umówili, jednako byli

ubrani, gdyż i ona miała suknię ze srebrnej lamy, spiętą szafirem i błękitny z aksamitu weneckiego kontusik. — Chyba brat i siostra — mówili ci, którzy ich nie znali, ale inni zaraz na to czynili uwagę: — Nie może być, bo mu się oczy nadto do niej jarzą.

Tymczasem w sali marszałek dał znać, że czas do stołu siadać i zaraz uczynił się ruch niezwyczajny. Hrabia Loewenhaupt, cały w koronkach, szedł najprzód pod rękę z księżną, której powłokę płaszcza niosło dwóch paziów prześlicznych; za nim baron Shitte prowadził panią Hlebowiczową, tuż szedł ksiądz biskup Parczewski z księdzem Białozorem, obaj jakby czemś zmartwieni i zasępieni.

Książę Janusz, który w pochodzie ustępował gościom, ale za stołem brał obok księżnej miejsce najwyższe, wiódł panią Korfową, wojewodzinę wendeńską, bawiącą już od tygodnia w Kiejdanach. I tak sunął cały szereg par, jako wąż stubarwny i rozwijał się i mienił. Kmicic wiódł Oleńkę, która leciuchno wsparła ramię na jego ramieniu, on zaś spoglądał bokiem na jej delikatną twarz, szczęśliwy, jako pochodnia pałający, największy magnat między tymi magnatami, bo największego skarbu bliski.

Tak idąc posuwisto, przy dźwiękach kapeli, weszli do sali jadalnej, która wyglądała jak cały gmach osobny. Stół zastawiony był w podkowę, na trzysta osób i giął się pod srebrem i złotem. Książę Janusz, jako część majestatu królewskiego w sobie mający i tylu królom pokrewny, wziął obok księżnej miejsce najwyższe, a wszyscy przechodząc mimo, kłaniali się nisko i zasiadali wedle godności.

Lecz widocznie, jak się zdawało obecnym, pamiętał hetman, że to ostatnia uczta przed straszną wojną, w której się losy olbrzymich państw rozstrzygną, bo nie miał w twarzy pokoju. Udawał uśmiech i wesołość, a tak wyglądał, jakby paliła go gorączka. Czasami widoczna chmura osiadała mu na groźnem czole i siedzący bliżej mogli dostrzec, że czoło to było gęsto kroplami potu okryte; czasem wzrok jego biegał szybko po zebranych twarzach i zatrzy-

mywał się badawczo na obliczach różnych pułkowników, to znów marszczył nagle lwie brwi, jakby go boleści przeszywały lub jakby ta czy owa twarz budziła w nim gniew. I dziwna rzecz, że dygnitarze siedzący obok księcia, jako: posłowie, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, pan wojewoda wendeński i inni, również byli roztargnieni i niespokojni. Dwa ramiona olbrzymiej podkowy brzmiały już wesołą rozmową i zwykłym gwarem przy ucztach, a szczyt jej milczał posępnie, lub szeptał rzadkie słowa, lub zamieniał roztargnione i jakoby trwożne spojrzenia.

Ale nie było w tem nic dziwnego, bo niżej siedzieli pułkownicy i rycerze, którym bliska wojna co najwięcej śmiercią groziła. Łatwiejże polec w wojnie, niż dźwigać odpowiedzialność za nią na ramionach. Nie zatroszczy się dusza żołnierska, gdy odkupiwszy krwią grzechy, leci z pola ku niebu — ten tylko schyla ciężko głowę, ten rozprawia w duszy z Bogiem i sumieniem, kto w wilję dnia stanowczego nie wie, jaki puhar poda jutro ojczyźnie do wypicia.

Tak też i tłumaczono to sobie na niższych końcach.

— Zawsze on taki przed każdą wojną, że z własną duszą gada; — mówił stary pułkownik Stankiewicz do pana Zagłoby — ale im posępniejszy, tem gorzej dla nieprzyjaciół, bo w dzień bitwy będzie wesół z pewnością.

— Toć i lew przed walką pomrukuje, — odparł pan Zagłoba, — żeby w sobie tem większą abominację przeciw nieprzyjacielowi wzbudzić. Co zaś do wielkich wojowników, każdy ma swój obyczaj. Hannibal podobno kości rzucał. Scipio Africanus rytmy recytował, pan Koniecpolski, ojciec, o białogłowach zawsze rozmawiał, a ja, rad snu przed bitwą przez jaką godzinę zażywam, choć i od kielicha z dobrymi przyjaciółmi nie stronię.

— Obaczcie, waćpanowie, że to i ksiądz biskup Parczewski blady jak karta papieru! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bo za kalwińskim stołem siedzi i snadnie coś nie-

czystego w potrawach połknąć może — wyjaśnił cichym głosem Zagłoba. — Do trunków, powiadają starzy ludzie, nie ma licho przystępu i te wszędy pić możesz, ale jadła. a szczególnie zupy, trzeba się wystrzegać. Tak było i w Krymie, za czasów, gdym tam w niewoli siedział. Tatarscy mułłowie czyli księża umieli baraninę z czosnkiem tak przyrządzać, że kto pokosztował, zaraz od wiary gotów był odstąpić i ich szelmowskiego proroka przyjąć.

Tu Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej:

— Nie na kontempt księciu panu to mówię ale radzę waćpanom jadło przeżegnać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Co zaś waćpan mówisz!... Kto się Bogu poleci przed jedzeniem, temu się nic nie stanie; u nas w Wielkopolsce lutrów i kalwinów coniemiara, ale nie słyszałem o tem, żeby mieli jadło czarować.

— U was w Wielkopolsce lutrów coniemiara, to też się ze Szwedami zaraz powąchali — odrzekł Zagłoba — i teraz w komitywie z nimi chodzą. Jabym na miejscu księcia i tych tam oto posłów psami wyszczuł, nie specjałami kiszki im nadziewał. Patrzcie-no na tego Loewenhaupta. Tak żre, jakby za miesiąc mieli go na jarmark, na postronku za nogę uwiązanego, pognać. Jeszcze dla żony i dla dzieci w kieszenie bakaljów natka... Zapomniałem, jak się ten drugi zamorek nazywa. Bodajże cię...

— Spytaj ojciec Michała — rzekł Jan Skrzetuski.

Pan Michał siedział niedaleko, ale nic nie słyszał, nic nie widział, bo siedział między dwiema pannami; po lewej ręce miał pannę Elżbietę Sielawską, godną pannę, lat około czterdziestu, a po prawej Oleńkę Billewiczównę, za którą siedział Kmicic. Panna Elżbieta trzęsła głową, przybraną w pióra, nad małym rycerzem i opowiadała mu coś bardzo żywo, on zaś spoglądał na nią od czasu do czasu osowiałym wzrokiem, odpowiadał co chwila: — Tak mościa panno, jako żywo! — i nie rozumiał ani słowa, bo cała jego uwaga była właśnie po drugiej stronie. Uchem łowił szmer słów Oleńki, chrzęst jej lamowej sukni i wąsikami tak z żalu

ruszał, jakby chciał niemi pannę Elżbietę odstraszyć.

— Ej! cudnaż to dziewczyna!... Ej, gładyszka to! — mówił sobie w duszy. — Wejrzyjże Boże na moją nędzę, bo już niemasz większego sieroty ode mnie. Dusza aż piszczy we mnie, żeby to mieć swoją niewiastę kochaną, a co na którą spojrzę, to już tam inny żołnierz kwaterą stoi. Gdzież ja się nieszczęsny tułacz podzieję?...

— A po wojnie, co waćpan myślisz czynić? — spytała nagle panna Elżbieta Sielawska, złożywszy buzię „w ciup“ i wachlując się mocno.

— Do zakonu pójść!— odparł opryskliwie mały rycerz.

— A kto tam o zakonie przy uczcie wspomina? — zawołał wesoło Kmicic, przechylając się przez Oleńkę. — Hej! to pan Wołodyjowski!

— Waści to nie w głowie? A wierzę! — rzekł pan Michał.

Wtem słodki głos Oleńki zabrzmiał mu w uszach:

— Bo waćpanu nie trzeba o tem myśleć. Bóg ci da żonę po sercu kochaną i zacną, jako sam jesteś zacny.

Poczciwy pan Michał zaraz rozczulił się:

— Żeby mi kto na fletni grał, nie byłoby mi milej słuchać!

Gwar coraz wzmagający się przy stole przerwał dalszą rozmowę, bo też i do kielichów przyszło. Humory ożywiały się coraz bardziej. Pułkownicy dysputowali o przyszłej wojnie, marszcząc brwi i ciskając ogniste spojrzenia.

Pan Zagłoba opowiadał na cały stół o oblężeniu Zbaraża, a słuchaczom aż krew biła na twarze, a w sercach rósł zapał i odwaga. Zdawać się mogło, że duch nieśmiertelnego „Jaremy“ nadleciał do tej sali i tchnieniem bohaterskiem napełnił dusze żołnierzy.

— To był wódz! — rzekł znamienity pułkownik Mirski, który całą husarją radziwiłłowską dowodził. — Raz go tylko widziałem i w chwili śmierci będę jeszcze pamiętał.

— Jowisz, z piorunami w ręku! — zakrzyknął stary Stankiewicz. — Nie przyszłoby do tego, gdyby żył!...

— Ba! przecie on za Romnami lasy rąbać kazał, by sobie gościniec do nieprzyjaciół otworzyć.

— Jego to przyczyną stała się berestecka wiktorja.

— I w najcięższej chwili Bóg go zabrał...

— Bóg go zabrał, — powtórzył podniesionym głosem pan Skrzetuski, — ale testament po nim został dla przyszłych wodzów, dygnitarzy i całej Rzeczypospolitej: oto, żeby z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić!...

— Nie paktować! Bić! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów. — Bić, bić!

W sali upał stał się wielki i burzył krew w wojownikach, więc poczęły padać spojrzenia jak błyskawice, a podgolone łby dymiły.

— Nasz książę, nasz hetman, będzie tego testamentu egzekutorem! — rzekł Mirski.

Wtem olbrzymi zegar, umieszczony w górze sali, począł bić północ, a jednocześnie wstrząsły się mury, zadźwięczały żałośnie szyby i huk wystrzału wiwatowego rozległ się na dziedzińcu.

Rozmowy umilkły, nastała cisza.

— Nagle u szczytu stołu poczęto wołać:

— Ksiądz biskup Parczewski zemdlał! Wody!

Uczyniło się zamieszanie. Niektórzy zerwali się z siedzeń, by się lepiej przyjrzeć, co zaszło. Biskup nie zemdlał, ale osłabł bardzo, aż marszałek podtrzymywał go na krześle za ramiona, podczas gdy pani wojewodzina wendeńska pryskała mu wodą na twarz.

— W tej chwili drugi wystrzał działowy wstrząsnął szybami, za nim trzeci, czwarty...

— Vivat Rzeczpospolita! pereant hostes! — zakrzyknął Zagłoba.

Lecz dalsze wystrzały zgłuszyły jego mowę. Szlachta poczęła je liczyć:

— Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Szyby za każdym razem odpowiadały jękiem żałosnym.

Płomienie świec chwiały się od wstrząśnień.

— Trzynaście! czternaście!... Ksiądz biskup huku niezwyczajny. Popsuł przez swój strach zabawę, bo i książę się zatroskał. Patrzcie, mości panowie, jaki odęty siedzi... Piętnaście, szesnaście... Hej, walą jak w bitwie! Dziewiętnaście, dwadzieścia!

— Cicho tam! książę chce przemówić! — poczęto wołać naraz w różnych końcach stołu.

— Książę chce przemówić!

Uciszyło się zupełnie i wszystkich oczy zwróciły się na Radziwiłła, który stał, podobny do olbrzyma, z kielichem w ręku. Lecz cóż za widok uderzył oczy ucztujących!...

Twarz księcia była w tej chwili poprostu straszna, bo nie blada, ale sina i wykrzywiona jak konwulsją uśmiechem, który książę usiłował na usta przywołać. Oddech jego, zwykle krótki, stał się jeszcze krótszy, szeroka pierś wzdymała się pod złotogłowiem, a oczy nakrył do połowy powiekami i groza jakaś była w tej potężnej twarzy i lodowatość, jakie bywają w krzepnących rysach w chwilach skonu.

— Co jest księciu! co tu się dzieje? — szeptano naokoło niespokojnie.

I złowrogie przeczucie ścisnęło wszystkich serca; trwożliwe oczekiwanie osiadło na obliczach.

On tymczasem mówić począł krótkim, przerywanym przez astmę głosem:

— Mości panowie!... Wielu z pomiędzy was... zdziwi... albo zgoła przestraszy ten toast... ale... kto mi ufa i wierzy... kto prawdziwie chce dobra ojczyzny... kto wiernym mojego domu przyjacielem... ten go wzniesie ochotnie... i powtórzy za mną:

— Vivat Carolus Gustavus rex... od dziś dnia łaskawie nam panujący!

— Vivat! — powtórzyli dwaj posłowie Loewenhaupt i Shitte oraz kilkunastu oficerów cudzoziemskiego autoramentu.

Lecz w sali zapanowało głuche milczenie. Pułkownicy

i szlachta spoglądali na siebie przerażonym wzrokiem, jakby pytając się wzajem, czy książę zmysłów nie utracił. Kilka głosów ozwało się wreszcie w różnych miejscach stołu:

— Czy my dobrze słyszym? Co to jest?

Potem znowu nastała cisza.

Zgroza niewypowiedziana w połączeniu ze zdumieniem odbiła się na twarzach i oczy wszystkich znów zwróciły się na Radziwiłła, a on stał ciągle i oddychał głęboko, rzekłbyś: niezmierny jakiś ciężar zrzucił z piersi. Barwa wracała mu zwolna na twarz; następnie zwrócił się do pana Komorowskiego i rzekł:

— Czas promulgować ugodę, którąśmy dzisiaj podpisali, aby ichmościowie wiedzieli, czego się trzymać. Czytaj wasza miłość!

Komorowski wstał, rozwinął leżący przed sobą pergamin i począł czytać straszną ugodę, rozpoczynającą się od słów:

„Nie mogąc lepiej i dogodniej postąpić w najburzliwszym teraźniejszym rzeczy stanie, po utraceniu wszelkiej nadziei na pomoc najjaśniejszego króla, my panowie i stany Wielkiego Księstwa Litewskiego, koniecznością zmuszeni, poddajemy się pod protekcję najjaśniejszego króla szwedzkiego na tych warunkach:

1) Łącznie wojować przeciw wspólnym nieprzyjaciołom„ wyjąwszy króla i Koronę Polską.

2) W. Ks. Litewskie nie będzie do Szwecji wcielone, lecz z nią takim sposobem połączone, jak dotąd z Koroną Polską, to jest, aby naród narodowi, senat senatowi, a rycerstwo rycerstwu we wszystkiem było równe.

3) Wolność głosu na sejmach nikomu nie ma być bronioną.

4) Wolność religji ma być nienaruszona...“

I tak dalej czytał pan Komorowski wśród ciszy i zgrozy aż gdy doszedł do ustępu: „...Akt ów stwierdzamy podpisami naszemi za nas i potomków naszych, przyrzekamy i warujemy“ — szmer uczynił się w sali, jakby pierwsze

tchnienie burzy wstrząsnęło borem. Lecz nim burza wybuchła, siwy jak gołąb pan Stankiewicz zabrał głos i począł błagać:

— Mości książę! Uszom własnym wierzyć nie chcemy! Na rany Chrystusa! także to ma pójść wniwecz dzieło Władysławowe i Zygmunta Augusta? Zali można, zali godzi się braci odstępować, ojczyzny odstępować, i z nieprzyjacielem unję zawierać? Mości książę, wspomnij na imię, które nosisz, na zasługi, które ojczyźnie oddałeś, na sławę niepokalaną dotąd rodu twego i zedrzyj i podepcz ten dokument haniebny! Wiem, że nie w swojem imieniu tylko proszę, ale w imieniu wszystkich tu obecnych wojskowych i szlachty. Toż i nam służy o naszym losie stanowić. Mości książę! nie czyń tego, czas jeszcze!... Zmiłuj się nad sobą, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad Rzecząpospolitą!

— Nie czyń tego! Zmiłuj się, zmiłuj! — ozwały się setne głosy.

I wszyscy pułkownicy zerwali się z miejsc swoich i szli ku niemu, a sędziwy Stankiewicz klęknął na środku sali, pomiędzy dwoma ramionami stołu i coraz potężniej brzmiało naokoło:

— Nie czyń tego! Zmiłuj się nad nami!

Radziwiłł podniósł swoją potężną głowę i błyskawice poczęły przelatywać mu po czole; nagle wybuchnął:

— Waszmościomże to przystoi pierwszym dawać przykład niekarności? Wojskowymże to przystoi wodza, hetmana odstępować i protestację zanosić? Wy to chcecie być mojem sumieniem? Wy chcecie uczyć mnie, jak dla dobra ojczyzny postąpić należy? Nie sejmik to i nie na wota was tu wezwano, a przed Bogiem ja biorę odpowiedzialność!

I dłonią uderzył się w pierś szeroką, poglądając iskrzącym wzrokiem na żołnierzy, a po chwili zakrzyknął:

— Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Znałem was, wiedziałem, co będzie!... A wy wiedzcie, że miecz wisi nad waszemi głowami!...

— Mości książę! hetmanie nasz! — błagał stary Stankiewicz — zmiłuj się nad sobą i nad nami!

Lecz dalsze jego słowa przerwał Stanisław Skrzetuski, który porwawszy się obu rękoma za włosy, począł wołać rozpaczliwym głosem:

— Nie błagajcie go, to nanic! On tego smoka oddawna w sercu hodował!... Biada ci, Rzeczpospolito! Biada nam wszystkim!

— Dwóch dygnitarzy na dwóch krańcach Rzeczypospolitej zaprzedaje ojczyznę! — odezwał się Jan. — Przekleństwo temu domowi, hańba i gniew boży!

Słysząc to pan Zagłoba, otrząsł się ze zdumienia i wybuchnął:

— Pytajcie się go, jakie korupcje wziął od Szweda? Ile mu wyliczono? Ile mu jeszcze obiecano? Mości panowie, oto Judasz Iskarjota! Bodajeś konał w rozpaczy! bodaj ród twój wygasł! — bodaj djabeł duszę z ciebie wywlókł... zdrajco! zdrajco! po trzykroć zdrajco!

Wtem Stankiewicz w uniesieniu rozpaczy wyciągnął pułkownikowską buławę z za pasa i cisnął ją z trzaskiem do nóg księcia. Drugi cisnął Mirski, trzeci Józefowicz, czwarty Hoszczyc, piąty, blady jak trup, pan Wołodyjowski, szósty Oskierka — i toczyły się po podłodze buławy, a jednocześnie w tej lwiej jaskini, lwu do oczu, coraz więcej ust powtarzało straszliwy wyraz:

— Zdrajca!... zdrajca!...

Wszystka krew napłynęła do głowy dumnemu magnatowi; zsiniał, rzekłbyś: za chwilę zwali się trupem pod stół.

— Ganchof i Kmicic do mnie!... — ryknął straszliwym głosem.

W tej chwili czworo podwojów, wiodących do sali, rozwarło się naraz z łoskotem i oddziały szkockiej piechoty wkroczyły groźne, milczące, z muszkietami w ręku. Od głównych drzwi wiódł je Ganchof.

— Stój! — krzyknął książę.

Poczem zwrócił się do pułkowników:

— Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę sali!

— Ja żołnierz, hetmanowi służę!... Bóg niech mnie sądzi!... — rzekł Charłamp, przechodząc na prawą stronę.

— I ja! — dodał Mieleszko. — Nie mój będzie grzech!

— Protestowałem jako obywatel, jako żołnierz słuchać muszę — dodał trzeci Niewiarowski, który, chociaż poprzednio buławę rzucił, teraz widocznie uląkł się Radziwiłła. Za nimi przeszło kilku innych i spora wiązka szlachty; lecz Mirski, najwyższy godnością i Stankiewicz najstarszy wiekiem i Hoszczyc i Wołodyjowski i Oskierka pozostali na miejscu, a z nimi dwóch Skrzetuskich, pan Zagłoba i ogromna większość, tak towarzyszów rozmaitych poważnych i lekkich chorągwi, jak i szlachty.

Szkocka piechota otoczyła ich murem.

Kmicic od pierwszej chwili, w której książę wzniósł toast na cześć Karola Gustawa, zerwał się wraz ze wszystkimi z miejsca, oczy postawił w słup i stał jak skamieniały, powtarzając zbladłemi wargami:

— Boże!... Boże!... Boże!... com ja uczynił?...

Wtem głos cichy, ale dla jego ucha wyraźny, zaszeptał blisko:

— Panie Andrzeju!...

On chwycił się nagle rękoma za włosy:

— Przeklętym na wieki!... Bodaj mnie ziemia pożarła!...

Na twarz Billewiczówny wystąpiły płomienie, a oczy, jak gwiazdy jasne, utkwiła w Kmicicu:

— Hańba tym, którzy przy hetmanie stają!... Wybieraj!... Boże wszechmogący!... Co waćpan czynisz?!... Wybieraj!...

— Jezu! Jezu! — zakrzyknął Kmicic.

Tymczasem sala rozległa się okrzykami, inni właśnie rzucali buławy pod nogi księcia, ale Kmicic nie przyłączył się do nich! nie ruszył się i wówczas gdy książę zakrzyknął: — Ganchof i Kmicic do mnie! — ani gdy piechota

szkocka weszła już do sali — i stał targany boleścią i rozpaczą, z obłąkanym wzrokiem, z zsiniałemi usty.

Nagle zwrócił się do Billewiczówny i wyciągnął do niej ręce:

— Oleńka!... Oleńka!... — powtórzył z jękiem żałosnym, jak dziecko, które krzywda spotyka.

Lecz ona cofnęła się ze wstrętem w twarzy i zgrozą.

— Precz... zdrajco! — odpowiedziała dobitnie.

W tej chwili Ganchof skomenderował: — Naprzód! — i oddział Szkotów, otaczający więźniów, ruszył ku drzwiom.

Kmicic począł iść za nimi jak nieprzytomny, nie wiedząc, dokąd i poco idzie.

Uczta była skończona...

ROZDZIAŁ XIV.

Tej samej jeszcze nocy, książę długo naradzał się z panem Korfem, wojewodą wendeńskim i z posłami szwedzkimi. Rezultat ogłoszenia umowy zawiódł jego oczekiwania i odsłonił mu groźną przyszłość. Umyślnie chciał książę, by promulgacja nastąpiła w czasie uczty, gdy umysły są podniecone, ochocze i do wszelkiej zgody skłonne. Spodziewał się w każdym razie oporu, ale liczył i na stronników, tymczasem energja protestu przeszła jego oczekiwania. Prócz kilkudziesięciu szlachty kalwinów i garści oficerów obcego pochodzenia, którzy jako cudzoziemcy nie mogli mieć w tej sprawie głosu — wszyscy oświadczyli się przeciw układowi z Karolem Gustawem, a raczej z feldmarszałkiem jego i szwagrem Paulusem de la Gardie zawartemu.

Książę kazał wprawdzie aresztować oporną starszyznę wojskową, ale cóż z tego? Co na to rzekną chorągwie komputowe?... Czy się o swoich pułkowników nie upomną? Czy się nie zbuntują i nie będą chciały siłą ich odbić? A w takim razie cóż zostanie dumnemu księciu, prócz kilku regimentów dragońskich i cudzoziemskiej piechoty?

Potem... pozostaje jeszcze cały kraj, wszystka zbrojna szlachta — i Sapieha, wojewoda witebski, groźny przeciwnik radziwiłłowskiego domu, gotów na wojnę z całym światem w imię całości Rzeczypospolitej. Owi pułkownicy, którym nie można przecie szyi poucinać, owe chorągwie polskie pójdą do niego i Sapieha stanie na czele wszystkich sił kraju, a książę Radziwiłł ujrzy się bez wojska, bez stronników, bez znaczenia... Cóż wówczas się stanie?...

Były to pytania straszne, bo i położenie było straszne. książę rozumiał dobrze, że wówczas i umowa, nad którą w skrytości tyle pracował, siłą rzeczy straci wszelkie znaczenie, a wówczas i Szwedzi lekceważyć go będą, albo nawet mścić się za doznany zawód. Wszakże oddał im swe Birże w zakład wierności, ale przez to tem więcej się osłabił.

Karol Gustaw gotów był sypać obu rękami nagrody i zaszczyty dla potężnego Radziwiłła — słabym i opuszczonym od wszystkich wzgardzi. A jeśli odmienna szczęścia kolej zeszle zwycięstwo Janowi Kazimierzowi, wówczas ostatnia zguba nastanie dla tego pana, który dziś jeszcze rano nie miał równego sobie w całej Rzeczypospolitej.

Po odjeździe posłów i wojewody wendeńskiego, książę chwycił brzemienne troskami czoło w obie dłonie i począł chodzić szybkiemi krokami po komnacie... Z zewnątrz dochodziły głosy wartowników szkockich i turkot odjeżdżających kolasek szlacheckich! Odjeżdżały tak szybko jakoś i pośpiesznie, jakby zaraza padła na wspaniały kiejdański zamek. Straszliwy niepokój targał duszę Radziwiłła.

Zdawało mu się chwilami, że prócz niego jest jeszcze ktoś i chodzi zą nim i szepce mu do ucha: „Opuszczenie, ubóstwo, a do tego hańba...“ Wszakże on, wojewoda wileński i hetman wielki, już był zdeptany i upokorzony! Ktoby przypuszczał wczoraj, że w całej Koronie i Litwie, ba! w całym świecie, znajdzie się człowiek, któryby śmiał zakrzyknąć mu do oczu: — Zdrajca! — a przecie on tego wysłuchał i żyw dotąd i ci, którzy ów wyraz wymówili, żywi także. Może, gdyby wszedł do owej sali, w której odbywała

się uczta, usłyszałby jeszcze, jak echo wśród gzymsów i pod sklepieniami powtarza: — Zdrajca! zdrajca!

I gniew szalony, wściekły, chwytał chwilami za pierś oligarchy. Nozdrza jego rozdymały się, oczy ciskały błyskawice, żyły występowały na czole. Kto tu śmie stawiać opór jego woli?... Rozszalała myśl stawiała mu przed oczy obraz kar i mąk dla buntowników, którzy ośmielili się nie iść jak pies za jego nogami. I widział krew ich ściekającą z katowskich toporów, słyszał chrupot kości, łamanych kołem i kąpał się i lubował i nasycał krwawemi widziadłami.

Lecz gdy trzeźwiejsza rozwaga przypomniała mu, że za tymi buntownikami stoi wojsko, że nie można bezkarnie łbów im poskręcać, wówczas niepokój nieznośny, piekielny, wracał i napełniał jego duszę, a ktoś znów poczynał szeptać mu do ucha:

„Opuszczenie, ubóstwo, sąd i hańba...“

— Jakżeto? Więc Radziwiłłowi nawet nie wolno stanowić o losie kraju? utrzymać go przy Janie Kazimierzu lub dać Karolowi Gustawowi? dać, przekazać, darować, komu zechce?

Magnat spojrzał ze zdumieniem przed siebie.

Więc cóż są Radziwiłłowie? Więc czemże byli wczoraj? Co mówiono powszechnie na Litwie?... Zali to wszystko było złudzeniem? Zali przy hetmanie wielkim nie stanie książę Bogusław ze swojemi pułkami, za nim wuj elektor brandenburski, a za wszystkimi trzema Karol Gustaw, król szwedzki, z całą zwycięską potęgą, przed którą niedawno jeszcze drżały Niemcy jak długie i szerokie? Toż i ta Rzeczpospolita Polska wyciąga ku nowemu panu ręce i ona poddaje się na samą wieść o zbliżaniu się północnego lwa. Któż stawi opór tej sile niepohamowanej?

Z jednej strony król szwedzki, elektor brandenburski, Radziwiłłowie, w potrzebie i Chmielnicki z całą potęgą i hospodar wołoski i Rakoczy siedmiogrodzki, pół niemal Europy! — z drugiej pan wojewoda witebski z panem Mirskim, z panem Stankiewiczem, z ową trójką szlachty

przybyłej z pod Łukowa i z kilku zbuntowanemi chorągwiami!... Co to jest? Żarty? krotofila?...

Tu nagle książę zaczął się śmiać głośno.

— Przez lucypera i cały sejm piekielny, chybam oszalał!... Niech i wszyscy pójdą do wojewody witebskiego!

Po chwili jednak twarz jego zasępiła się znowu:

— Ci potężni tylko potężnych do spółki przypuszczą. Radziwiłł rzucający Litwę pod szwedzkie nogi, będzie pożądany... Radziwiłł wzywający pomocy przeciw Litwie, będzie lekceważony.

Co czynić?

Oficerowie cudzoziemscy wytrwają przy nim, ale siły ich niedostateczne i jeśli polskie chorągwie przejdą do wojewody witebskiego, wtedy on będzie miał losy kraju w ręku. Zresztą każdy z tych oficerów spełni wprawdzie rozkazy, ale nie poślubi sprawy radziwiłłowskiej całą duszą, nie odda się jej z zapałem, nietylko jako żołnierz, lecz jako stronnik.

Tu koniecznie trzeba mieć nie cudzoziemców, ale ludzi swoich, którzyby mogli pociągnąć innych nazwiskiem, męstwem, sławą, zuchwałym przykładem, gotowością na wszystko... Trzeba mieć w kraju stronników, choćby dla pozoru.

Któż zaś z tych swoich opowiedział się przy księciu? Charłamp, stary, zużyty żołnierz, dobry do służby i do niczego więcej; Niewiarowski, nielubiany w wojsku i bez wpływu; za nimi kilku innych mniejszego jeszcze znaczenia. Nikt z innych, nikt z takich, za którymby poszło wojsko, nikt z takich, któryby mógł być propagatorem sprawy.

Pozostawał Kmicic, młody, przedsiębiorczy, zuchwały, okryty wielką sławą rycerską, noszący znamienite nazwisko, stojący na czele potężnej chorągwi, częścią własnym kosztem wystawionej, człowiek jakby stworzony na wodza wszystkich zuchwałych i niespokojnych duchów na Litwie, a przytem pełen zapału. Gdyby on chwycił się sprawy radziwiłłowskiej, to chwyciłby się jej z wiarą, jaką daje młodość, szedłby za swym hetmanem na ślepo i apostołowałby w jego imieniu,

a taki apostoł znaczy więcej, niż całe pułki, niż całe regimenty cudzoziemców. Swą wiarę potrafiłby wlać w serca młodego rycerstwa, pociągnąć je za sobą i wypełnić ludźmi radziwiłłowski obóz.

Lecz i on zawahał się widocznie. Nie rzucił wprawdzie swej buławy pod nogi hetmana, ale nie stanął przy nim w pierwszej chwili.

— Na nikogo nie można liczyć, nikogo nie można być pewnym — pomyślał posępnie książę. — Wszyscy oni przejdą do wojewody witebskiego i nikt nie zechce się ze mną podzielić...

— Hańbą! — podszepnęło sumienie.

— Litwą — odpowiedziała z drugiej strony pycha.

W komnacie pociemniało, bo na knotach świec osiadły grzyby, jeno przez okna wpływało srebrne światło księżyca. Radziwiłł wpatrzył się w te blaski i zamyślił się głęboko.

Zwolna poczęło się coś mącić w tych blaskach, wstawały jakieś postacie i coraz ich było więcej, aż wkońcu ujrzał książę jakoby wojska idące ku sobie z górnych szlaków szeroką księżycową drogą. Idą pułki pancerne, husarskie i lekkie petyhorskie, las chorągwi płynie nad niemi, a na czele jedzie jakiś człowiek bez hełmu na głowie, widocznie triumfator wracający po wojnie zwycięskiej. Cisza naokoło, a książę słyszy wyraźnie głos wojska i ludu: — Vivat defensor patriae! vivat defensor patriae! — Wojska zbliżają się coraz więcej; już twarz wodza można rozpoznać. Buławę trzyma w ręku; z liczby buńczuków można poznać, że to hetman wielki.

— W imię Ojca i Syna! — woła książę — to Sapieha, to wojewoda witebski! A gdzie ja jestem i co mnie przeznaczono?

— Hańbę! — szepce sumienie.

— Litwę! — odpowiada pycha.

Książę zaklasnął w dłonie; czuwający w przyległej komnacie Harasimowicz ukazał się natychmiast we drzwiach i zgiął się we dwoje.

— Światła! — rzekł książę.

Harasimowicz poobjaśniał knoty od świec, poczem wyszedł i po chwili wrócił ze świecznikiem w ręku.

— Wasza ks. mość! — rzekł — czas na spoczynek, już drugie kury piały!

— Nie chcę! — rzekł książę. — Zdrzemnąłem się i zmora mnie dusiła. Co tam nowego?

— Jakiś szlachcic przywiózł list z Nieświeża od księcia krajczego, ale nie śmiałem wchodzić nieprzyzwany.

— Dawaj co prędzej list!

Harasimowicz podał zapieczętowane pismo, książę otworzył i począł czytać, co następuje:

„Niech w. ks. mość Bóg broni i powstrzyma od takowych zamysłów, które wieczną hańbę i zniszczenie domowi naszemu przynieść mogą. Za sam takowy zamiar, nie o panowaniu, ale o włosiennicy myśleć. Mnie też wielkość naszego domu na sercu leży, a najlepszy dowód w staraniach, jakie w Wiedniu czyniłem, abyśmy suffragia w sejmach Rzeszy mieć mogli. Ale ojczyzny, ani pana swojego za żadne nagrody i potęgę ziemską nie zdradzę, abym zaś po takiej siejbie żniwa hańby za życia i potępienia po śmierci nie zebrał. Wejrzyj wasza ks. mość na zasługi przodków i na sławę niepokalną i opamiętaj się na miłosierdzie boskie, póki czas potemu służy. Nieprzyjaciel oblega mnie w Nieświeżu i nie wiem, zali to pismo dojdzie rąk waszej ks. mości; ale chociaż każda chwila zgubą mi grozi, nie o ocalenie Boga proszę, jeno aby waszą ks. mość od tych zamysłów powstrzymał i na drogę cnoty naprowadził. Choćby się już co złego uczyniło, jeszcze recedere wolno i prędką poprawą zgładzić grzechy potrzeba. A ode mnie nie spodziewajcie się pomocy, bo to zgóry oświadczam, że bez względu na związek krwi, ja siły swoje z panem podskarbim i z wojewodą witebskim połączę i oręż mój sto razy prędzej przeciw waszej ks. mości zwrócę, zanimbym do tej haniebnej zdrady miał dobrowolnie przyłożyć ręki. Bogu w. ks. mość polecam.

Michał Kazimierz Radziwiłł,
książę na Nieświeżu i Ołyce,
krajczy W. Ks. Litewskiego".

Hetman, skończywszy list, opuścił go na kolana i począł kiwać głową z bolesnym na twarzy uśmiechem.

— I ten mnie opuszcza, własna krew mnie się wypiera, za to, żem chciał dom nasz nieznanym dotąd blaskiem przyozdobić!... Ha! trudno! Pozostaje Bogusław i ten mnie nie opuści... Z nami elektor i Carolus Gustavus, a kto nie chce siać, ten i zbierać nie będzie...

— Hańby! — szepnęło sumienie.

— W. ks. mość raczy dać odpowiedź? — pytał Harasimowicz.

— Nie będzie odpowiedzi.

— Mogęż odejść i pokojowych przysłać?

— Czekaj... Czy warty pilno rozstawione?

— Tak jest.

— Ordynanse do chorągwi rozesłane?

— Tak jest.

— Co robi Kmicic?

— Łbem o ścianę bił i krzyczał o potępieniu. Wił się jak piskorz. Chciał uciekać za Billewiczami, warty go nie puściły. Porwał się do szabli, musiano go związać. Teraz leży spokojnie.

— Miecznik rosieński wyjechał?

— Nie było rozkazu, żeby go zatrzymać.

— Zapomniałem! — rzekł książę. — Otwórz okna, bo duszno i astma mnie dusi. Charłampowi powiedz, żeby do Upity po chorągiew ruszał i zaraz ją tu sprowadził. Pieniędzy mu dać, niech pierwszą ćwierć ludziom zapłaci i podochocić im pozwoli... Powiedz mu, że Dydkiemie w dożywocie po Wołodyjowskim weźmie. Astma mnie dusi... Czekaj!

— Wedle rozkazu w. ks. mości.

— Co robi Kmicic?

— Jako rzekłem waszej książęcej mości, leży spokojnie.

— Prawda! mówiłeś... Każ go tu przysłać. Potrzebuję z nim mówić. Więzy każ mu zdjąć.

— W. ks. m., to człowiek szalony...

— Nie bój się, ruszaj!

Harasimowicz wyszedł; książę zaś wyjął z weneckiego biurka pudełko z pistoletami, otworzył je i położył sobie pod ręką na stole, przy którym usiadł.

Po kwadransie czasu wszedł Kmicic, wprowadzony przez czterech trabantów szkockich. Książę kazał odejść żołnierzom. Zostali sam na sam.

Zdawało się, że niema ani jednej kropli krwi w twarzy junaka, tak była blada; oczy tylko świeciły mu gorączkowo, ale zresztą był spokojny, zrezygnowany, lubo zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpaczy.

Przez chwilę milczeli obaj. Przemówił pierwszy książę:

— Przysiągłeś na krucyfiksie, że nie opuścisz mnie!

— Potępiony będę, gdy tej przysięgi nie dotrzymam; potępiony będę, gdy jej dotrzymam! — rzekł Kmicic. — Wszystko mi jedno!

— Choćbym cię do złego prowadził, nie ty będziesz odpowiadał.

— Przed miesiącem groziły mi sądy i kary za zabójstwa... dziś wydaje mi się, żem wonczas był niewinny, jak dziecko!

— Nim wyjdziesz z tej komnaty, będziesz się czuł rozgrzeszony ze wszystkich swych win dawniejszych — rzekł książę.

Nagle, zmieniwszy ton, spytał z pewną poufałą dobrodusznością:

— Co też sądzisz, co ja powinienem był uczynić wobec tych dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym obronić tego kraju nie mogłem?

— Zginąć! — odpowiedział szorstko Kmicic.

— Zazdrościć wam, żołnierzom, którym wolno tak łatwo zrzucić gniotące brzemię. Zginąć! Kto śmierci w oczy patrzył i nie boi się jej, temu nic prostszego w świecie. Was

głowa nie boli o to i żadnemu na myśl nie przyjdzie, że gdybym ja teraz wojnę zaciekłą rozniecił i nie zawarłszy układu, zginął, tedyby kamień na kamieniu z tego kraju nie pozostał. Nie daj Bóg, aby się to stało, bo i w niebie nie znalazłaby dusza moja spoczynku. O, terque, quaterque beati, którzy możecie zginąć!... Zali to myślisz, że i mnie żywot już nie cięży, żem nie głodny wiekuistego snu i odpocznienia? Ale trzeba kielich żółci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem. Niech zazdrośni posądzają mnie o pychę, niech mówią, że ojczyznę zdradzam dlatego, aby siebie wynieść, Bóg mnie widzi, Bóg sądzi, czy pragnę tego wyniesienia i czybym się nie zrzekł, gdyby inaczej być mogło... Znajdźcież wy, którzy mnie odstępujecie, środek ratunku; wskażcie drogę wy, którzyście mnie zdrajcą mianowali, a dziś jeszcze podrę ten dokument i wszystkie chorągwie ze snu rozbudzę, aby na nieprzyjaciela ruszyć.

Kmicic milczał.

— No! czemu milczysz? — zawołał podniesionym głosem Radziwiłł — czynię cię na mojem miejscu hetmanem wielkim i wojewodą wileńskim, a ty nie giń, bo to nie sztuka, ale ratuj kraj; broń województw zajętych, pomścij popioły Wilna, broń Żmudzi przeciw szwedzkiemu najściu, ba! broń całej Rzeczypospolitej, wyżeń z granic wszystkich nieprzyjaciół!... Porwij się samotrzeć na tysiące i nie giń!... i nie giń, bo ci nie wolno, ale ratuj kraj!...

— Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim — odparł Kmicic — i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!

— Słuchaj tedy żołnierzu: skoro nie twoja głowa ma ratować kraj, to zostaw to mojej i ufaj!

— Nie mogę! — rzekł ze ściśniętemi zębami Kmicic.

— Radziwiłł potrząsnął głową:

— Nie liczyłem na tamtych, spodziewałem się tego,

co się stało, alem się na tobie zawiódł. Nie przerywaj i słuchał... Postawiłem cię na nogi, uwolniłem od sądu i od kary, przygarnąłem do serca, jak syna. Czy wiesz dlaczego? Bom myślał, że masz duszę śmiałą, do wielkich przedsięwzięć gotową. Potrzebowałem takich ludzi, tego nie ukrywam. Nie było koło mnie nikogo, ktoby śmiał w słońce spojrzeć nieulękłem okiem. Byli ludzie małego ducha i małej fantazji. Takim nie ukazuj nigdy innej drogi, jak ta, po której oni sami i ich ojcowie chodzić zwykli, bo cię zakraczą, że ich na manowce prowadzisz. A przecie gdzie, jeżeli nie do przepaści, doszliśmy wszyscy owemi staremi drogami? Co się dzieje z tą Rzecząpospolitą, która niegdyś światu przegrażać mogła?

Tu książę głowę wziął w ręce i powtórzył po trzykroć:

— Boże! Boże! Boże!...

Po chwili tak mówił dalej:

— Nadeszły czasy gniewu Bożego, czasy takich klęsk i takiego upadku, że zwykłemi sposoby już nam się nie podnieść z tej choroby, a gdy ja chcę użyć nowych, jedynie salutem przynieść mogących, tedy mnie opuszczają nawet ci, na których gotowość liczyłem, którzy powinni mi byli ufać, którzy mi ufność na krucyfiksie zaprzysięgli... Przez krew i rany Chrystusa! Zali ty myślisz, że ja na wieki poddałem się pod protekcję Karola Gustawa, że ja ten kraj naprawdę myślę ze Szwecją połączyć, że ten układ, za który zdrajcą mnie okrzyknięto, dłużej niż rok trwać będzie?... Czegoż to spoglądasz zdumionemi oczyma?... Więcej się jeszcze zdumiejesz, gdy wszystkiego wysłuchasz... Więcej się przerazisz, bo tu stanie się coś takiego, czego nikt się nie domyśla, nikt nie przypuszcza, czego umysł zwyczajnego człeka objąć nie zdoła. Ale mówię ci, nie drżyj, bo w tem zbawienie tego kraju, nie cofaj się, bo gdy nikogo nie znajdę do pomocy, tedy może zginę, ale ze mną zginie Rzeczpospolita i wy wszyscy — na wieki! Ja jeden uratować ją mogę, ale nato muszę zgnieść i zdeptać wszystkie przeszkody. Biada temu, kto mi się oprze, bo sam Bóg go przeze mnie zetrze, czy

to będzie pan wojewoda witebski, czy pan podskarbi Gosiewski, czy wojsko, czy szlachta oporna. Chcę ratować ojczyznę i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach klęski mianował dyktatorów — takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba... Nie pycha mnie do niej ciągnie — kto się czuje na siłach, niech ją za mnie bierze! Ale gdy niema nikogo, ja ją wezmę, chyba mi te mury pierwej upadną na głowę!...

To rzekłszy, książę wyciągnął obie ręce do góry, jakby naprawdę chciał podeprzeć walące się sklepienia i było w nim coś tak olbrzymiego, że Kmicic otworzył szeroko oczy i patrzył nań, jakby go nigdy dotąd nie widział — a nakoniec spytał zmienionym głosem:

— Dokąd wasza książęca mość dążysz?... Czego chcesz?...

— Chcę... korony! — zakrzyknął Radziwiłł.

— Jezus, Marja!...

Nastała chwila ciszy — jeno puszczyk na wieży zamkowej począł się śmiać przeraźliwie.

— Słuchaj, — rzekł książę, — czas powiedzieć ci wszystko... Rzeczpospolita ginie... i zginąć musi. Niemasz dla niej na ziemi ratunku. Chodzi o to, by najprzód ten kraj, tę naszą ojczyznę bliższą, ocalić z rozbicia... a potem... potem wszystko odrodzić z popiołów, jako się feniks odradza... Ja to uczynię... i tę koronę, której chcę, włożę jako ciężar na głowę, by z onej wielkiej mogiły żywot nowy wyprowadzić... Nie drżyj! ziemia się nie rozpada, wszystko stoi na dawnem miejscu, jeno czasy nowe przychodzą... Oddałem ten kraj Szwedom, aby ich orężem drugiego nieprzyjaciela pohamować, wyżenąć go z granic, odzyskać co stracone i w jego własnej stolicy mieczem traktat wymusić... Słyszysz ty mnie? Ale w onej skalistej, głodnej Szwecji niemasz dość ludzi, dość sił, dość szabel, aby tę niezmierną Rzeczpospolitą zagarnąć. Mogą zwyciężyć raz i drugi nasze wojsko; utrzymać nas w posłuszeństwie nie zdołają... Gdyby każdym dziesięciu ludziom tutejszym

dodać za strażnika jednego Szweda, jeszczeby dla wielu dziesiątków strażników nie stało... I Karol Gustaw wie o tem dobrze i nie chce i nie może zagarnąć całej Rzeczypospolitej... Zajmie Prusy Królewskie, część Wielkopolski co najwięcej — i tem się będzie kontentował. Ale aby owemi nabytkami mógł na przyszłe czasy bezpiecznie władnąć, musi sojusz Korony z nami rozerwać, bo inaczej nie osiedziałby się w tamtych prowincjach. Cóż się więc stanie z tym krajem? Komu go oddadzą? Oto, jeśli ja odrzucę tę koronę, którą mi Bóg i fortuna na głowę kładą, tedy oddadzą go temu, kto go w tej chwili istotnie opanował... Lecz Karol Gustaw nie rad tego czynić, by sąsiedzkiej potęgi zbytnio nie utuczyć i groźnego sobie nieprzyjaciela nie stworzyć. Chyba, że ja koronę odrzucę, wówczas musi tak być... Zali więc mam prawo ją odrzucać? Zali mogę pozwolić, aby stało się to, co ostatnią zgubą grozi? Po raz dziesiąty i setny pytam: gdzie inny środek ratunku? Niech się więc dzieje wola Boża! Biorę ten ciężar na ramiona. Szwedzi są za mną, elektor, nasz krewny, pomoc przyrzeka. Uwolnię kraj od wojny! Od zwycięstw i rozszerzenia granic rozpocznę panowanie domu mego. Zakwitnie spokój i pomyślność, ogień nie będzie palił wsi i miast. Tak będzie i tak być musi... Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż ... bo czuję w sobie siłę i moc z nieba mi daną, bo chcę szczęścia tej krainy, bo nie tu jeszcze koniec moich zamysłów.... I na te światła niebieskie przysięgam, na te drgające gwiazdy, że niech jeno sił i zdrowia mi starczy, a cały ten gmach walący się dzisiaj odbuduję na nowo i potężniejszym, niż dotąd go uczynię.

Ogień bił ze źrenic i oczu księcia i całą jego postać otaczał jakiś blask niezwykły.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic — umysł objąć tego nie może, głowa pęka, oczy boją się patrzeć przed siebie!

— Potem, — mówił dalej Radziwiłł, jakby idąc za dalszym biegiem własnych myśli, — potem... Jana Kazi-

mierza nie pozbawią Szwedzi państwa, ni panowania, ale go w Mazowszu i Małopolsce zostawią. Bóg mu nie dał potomstwa. Potem przyjdzie elekcja... Kogoż na tron wybiorą, jeśli chcą dalszy sojusz z Litwą utrzymać? Kiedyż to tamta korona doszła do potęgi i zgniotła moc krzyżacką? Oto, gdy na jej tronie zasiadł Władysław Jagiełło. I teraz tak będzie... Polacy nie mogą kogo innego na tron powołać, jeno tego, kto tu będzie panował. Nie mogą i nie uczynią tego, bo zginą, bo im między Niemcami i Turczynem powietrza w piersi nie stanie, gdy i tak rak kozacki pierś tę toczy! Nie mogą! Ślepy, kto tego nie widzi; głupi, kto tego nie rozumie! A wówczas obie krainy znowu się połączą i zleją się w jedną potęgę w domu moim! Wówczas obaczym, czy oni królikowie skandynawscy ostoją się przy dzisiejszych pruskich i wielkopolskich nabytkach. Wówczas powiem im: q u o s e g o ! i tą stopą wychudłe żebra im przycisnę i stworzę taką potęgę, jakiej świat nie widział, o jakiej dzieje nie pisały, a może do Konstantynopola krzyż, miecz i ogień poniesiem i grozić będziem nieprzyjaciołom, spokojni wewnątrz! Wielki Boże, który obracasz gwiazd kręgi, dajże mi ocalić tę nieszczęsną krainę na chwałę Twoją i całego chrześcijaństwa, dajże mi ludzi, którzyby zrozumieli myśl moją i do zbawienia chcieli rękę przyłożyć. Otom jest!...

Tu książę ręce rozłożył i oczy podniósł do góry:

— Ty mnie widzisz! Ty mnie sądzisz!...

— Mości książę! Mości książę! — zawołał Kmicic.

— Idź! opuść mnie! rzuć mi buzdygan pod nogi! złam przysięgę! przezwij zdrajcą!... Niech w tej koronie cierniowej, którą mi na głowę włożono, żadnego ciernia nie zbraknie! Zgubcie kraj, pogrążcie go w przepaść, odtrąćcie rękę, która go zbawić może i na sąd boży idźcie... Tam niechaj nas rozsądzą...

Kmicic rzucił się na kolana przed Radziwiłłem.

— Mości książę! ja z tobą do śmierci! ojcze ojczyzny! zbawco!

Radziwiłł złożył mu obie ręce na głowie i znów nastała chwila milczenia... Jeno puszczyk śmiał się ciągle na wieży.

— Wszystko otrzymasz, czegoś pragnął i pożądał — rzekł uroczyście książę. — Nic cię nie minie, a więcej spotk niż ci ojciec i matka życzyli... Wstań przyszły hetmanie wielki i wojewodo wileński!...

Na niebie poczęło świtać.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.